

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena zł 5.

INNE CZASY —
WIĘC NIECH BĘDĄ TEŻ
I NOWE PRAWA

Wolter — „Myśli republikanina”

Rok I

Łódź, 4 listopada 1945 r.

Nr 10

ADOLF RUDNICKI

DZIENNIKI

Major Hubert z Armii Andersa

I.

Prawdę mówiąc, byłem w tym okresie skończony wariat — cierpiełem piekielnie. Dzisiaj jeszcze wspomnienie tych spraw wywołuje we mnie niechęć do życia, jak widok kobiet, które nas nie chciały. O jakich sprawach mówię? O sprawach — jak to się mówiło w dawnym języku warszawskim — lokalowych. Te co prawda i dziś w Łodzi niejednemu obrzydają życie, ale powody są inne. Angielscy politycy np. namawiają londyńczyków, by zamieszkać na barkach desantowych, w których dokonano inwazji; nie tylko w Łodzi nie ma gdzie mieszkać. Byłem wtedy prawie wariat.

Nieszczęście pękło pewnego dnia przed Wielką, w tym czułym dla człowieka okresie tak sprzyjającym przełomom wewnętrznym, na kilka lat przed wojną, w okazałej kamienicy przy ulicy Grójeckiej na przeciwko Domu Akademickiego, gdzie jeszcze wtedy mieszkali autentyczni akademicy w białych czapkach. Odnajmowałem porządną pokój u zacnych ludzi. Mój gospodarz, starszy pan handlował maszynkami do kawy. Te maszynki niewiele mu czasu zajmowały i starszy pan siedział i kochał siedzieć przy swojej starszej pani. Dzieci nie mieli. Służąca Róża miewała humory tylko wtedy, gdy w domu było pranie. Przez całą zimę czułem się jak w uchu.

Pewnego wiosennego dnia starszy pan poprosił, abym mu pozwolił wstawić do mojego pokoju pewien antyk. Była ich w mieszkaniu ilość dostateczna, aby skompromitować 98% gości pod względem znajomości stylów meblowych. Na propozycję starszego pana zgodziłem się chętnie. — Nic mi to nie przeszkadza — rzekłem i uściśniliśmy sobie ręce na dobranoc. Alści ten jeszcze nie wstawiony antyk odebrał mi tejsze nocy całkowicie ochotę do snu. Ranek zastał mnie w łóżku zmiażdżonym i wyżyłym z sił, lecz uzbrojonym w niezachwianą decyzję, aby za wszelką cenę nie dopuścić do wstawienia antyka, który zabije mi smak pokoju, jak również pogłębi stan mojej depresji przez swój czarny kolor i w ogóle. Jak wiadomo wszelka walka wymaga formuły. Wykuta w ciągu nocy wydała mi się właściwa i ustaliła teoretycznie płaszczyznę mojej wrogości. Gospodarzom nie powiedziałem, że antyk zje mi smak pokoju, bo wiem noc bez snu przesyca mnie tej siły nienawiści, że nie mogłem patrzeć w ich stronę. Ich ranne pozdrowienie puściłem mimo uszu, uchylałem się również od wymiany spojrzeń. W mieszkaniu zapanowała cisza jak wokół ciężko chorego. Przez Różę chcieli dojeść przyczyny tej niezrozumiałej i nagłej odmiany. W toku tychże mediacji wypowiedziałem gwałtownie mieszkanie, co było niespodzianką również dla mnie samego, gdyż zaczynając rozmowę myślałem o zgodzie. W trzy dni później zapytali znów przez Różę, czy to nie antyk — którego ciągle jeszcze nie wstawiali — był powodem mojej choroby. Oburzyłem się na tych czarnych niewdzięczników, którzy w dodatku okazali się wścibskimi. — Jak to się ludzi nigdy naprawdę nie zna. — powiedziałem smętnie do Róży. — Jak to się ludzi nigdy naprawdę nie zna — odpowiedziała mi również smętnie Róża.

Z Grójeckiej przeniosłem się na Nowy Zjazd do pewnych Francuzów. Nowe mieszkanie uważałem za takie, jakie było mi potrzebne. Odpowiadała mi okolica — obojętna. „Do niczego nie przymusza, w nic nie wciąga, mieszkanie skąd jak z dworca masz wylot na wszystkie strony. Nie jesteś zaplanowany przez dzielnice, lecz przeciwnie — sam planujesz. Żadnych zależności, które są plagą twego życia”. Wszyscy, którzy pamiętają Nowy Zjazd mogą zaświadczyć, że pomyślałem bardzo rozumnie.

Ale rzeczywistość — czułem się w nowym mieszkaniu tak jak chciałem, to znaczy jak na dworcu. Po tygodniu stwierdziłem, że nie ranie w nim nie interesuje prócz drzwi. O każdej porze dnia i nocy miałem w nie wbite oczy. Pokój był wąski i długi, na szerokość nie do zamieszkania. Patrząc na drzwi naslu-

chiwałem dzwonka. Za ścianą Francuzka z okazji jakichś tajemniczych i niepojętych intencji — co jakiś czas dzwoniła. Wtedy uciekałem z domu.

Francuz powiedział mi wszystko co o mnie myślał, gdy mu oświadczył, że się omylił, że jego pokój nie odpowiada, niestety, moim wymaganiom. Milczałem pamiętając jeszcze wszystkie uśmiechy i słowa, którymi przekonywałem go, że znalazł idealnego lokatora w mojej osobie.

Z Nowego Zjazdu sprowadziłem się na ulicę Niecałą do niedźnej kłitki z oknem na śmietnik i z wejściem przez ciemny korytarz pełen szaf, skrzyń, sublokatorów. Jeszcze przed wynajęciem widziałem korytarz i śmietnik, ale sobie powiedział: trzeba mi stworzyć stan analogii pomiędzy udreconą moją duszą a światem zewnętrznym i dlatego ciemny korytarz, dlatego szafy, skrzynie i sublokatory, dlatego śmietnik. Wnieśli walizki, wnieśli jeszcze parę cięższych gratów, których się pozbyć nie mogłem, towarzyszyli mi więc z mieszkaniem do mieszkania, i zamknęli za mną drzwi. Usiadłem na brzegu krzesła i wyjrzałem przez okno na górkę śmieci. Pojawiła się tam właśnie kobieta z kubelkiem, który wywróciła do góry dnem. Naraz rozejrzawszy się, łapczywie uniosła spodnicę. Są psy, które w pewnych momentach codziennego życia muszą wyzwać ziemię pod sobą, nie można ich za nic przymusić do asfaltu. Tej wiejskiej dziewczęcej służącej w mieście, ziemia była zdaje się równie miła i niezbędna. Kobieta wrzeszcze poszła sobie a ja usłyszałem jak ktoś do mnie cicho powiedział: „Coś mi się zdaje, żeś się znów powoli...”

I rzeczywiście. Wkrótce zmieniłem Niecałą na Żoliborz pod jakimś bardzo przekonywującym pretekstem. Z Żoliborza również uciekłem na ożywioną Chłodną, aby się w każdej chwili móc zaurzyć w wielkomięskim tłumie. Za każdym razem miałem inny, lecz równie absolutny argument. Od tłumu ulicy Chłodnej uciekłem znów na Bielany. Pewnego wieczoru w Ziemiańskiej Rafał powiedział do grupki przyjaciół, których tym szczerze i serdecznie ubawił, gdyż byli wszyscy również moimi troskliwymi przyjaciółmi: „Nie jest dobrze z Jakóbem. Byłem u niego. Wiecie co najbardziej mu w tej chwili przeszkadza? Ptaki. Jak ptaki, no to już dajcie spokój” — i rozłożył ręce.

Przemierzając Warszawę wdłuż i wszerz odkryłem pewnego dnia czego mi właściwie brak: Natury, szerokiej i nieskrępowanej natury. Pojechałem więc do Świdra szukać szerokiej i nieskrępowanej natury. W listopadowy dzień, koło dziesiątej zjechałem, a o jedenaście, ledwo złożyłem rzeczy w pensjonacie, siedziałem już u Jana, pijąc na cześć szerokiej, nieskrępowanej natury Świdra, na cześć powietrza, które otwiera człowieka, wzmacnia jego chłonność, wyciąga z niego kwasy wielkomięskie, zabija gorsze od śmierci nawyki. „Tu, tu macie życie! Tu się żyje!” W tym duchu przemawiałem dłuższy czas z niesłabnącą namietnością. Jan słuchał trochę zdumiony, trochę ujarzmiony. „Dlaczegoś ukrywał przede mną jak tu jest? Byłbym dawno przyjechał. Teraz posiedzę! O posiedzę! Wieczorem przyjadę. Puścimy się na dłuższy spacer. I tak co wieczór”. „Na wsi nie chodzi się na spacer, człowieku! Ja wieczorem robię skarpetki na zimę, a ty krzyczysz, że ja żyję! Nie wiem czy czekał wieczorem, ale wiem, że się nie doczekał. Po południu napadła mnie tęsknota za miastem. Czulem, że jeśli nie wyjadę natychmiast, to pękne.

O, mój obłęd miał przyczynę, swoje uzasadnione przyczyny! Przyczyna mojego obłędu leżała w tym, że prosiłem was, mój styl pisarski całkowicie mi stwardniał, stwardniał do tego stopnia, że wszystko co pisałem, wydawało mi się jak z drutu i wyrzucałem, i niszczyłem, i paliłem. W dodatku mój jakby przestał się pocić, ładunek rzeczy, jaki z siebie wydobywałem był tak lichy, że doprowadzał mnie do łez. Miał ciężar rozbujanego papieru,

gdy ja chciałem się pod nim ugiąć jak pod worem węgla na plecach. Jakież byłem nieszczęśliwy z powodu tego stwardnienia stylu, tego niepocenia się mózgu i nazbyt lichego ładunku!

II.

Tolstoj powiada gdzieś, że dzieci z łatwością odróżniają tych, co ich naprawdę kochają, od tych, którzy udają. Od takich uciekają szybko. Również młodość posiada ten instykt. Między nami była różnica jakichś dwudziestu lat. I już chyba nie pamiętałem tego stałego wrzasku krwi wynoszącego z głębi już nie co dzień, lecz co godzinę, nowe szaleństwo; tej stałej burzy, której później już — nie można sobie wyobrazić, napadów to gniewu, to pokory, żądzy czynu, to skrajnej rezygnacji, tego stałego mętu uczuć sprzecznych, szarpających się, naskakujących na siebie. Sam odleżył, od tych trosk, Hubert nachylał się nade mną z całą przyjaźnią słuchając o stwardnieniu stylu, o niepoceniu się mózgu i niedostatecznym ładunku — bez uśmiechu, z powagą przyrodniaka, któremu mądrość się wzbrania śmiać. Nie narzucał się z radami, których sens dochodzi i tak po latach dopiero. Nie gromił mnie zbyt do mojego obłędu, że jedyne wałczy jakiego należało zmienić — to moje własne. Znal różne szaleństwa ludzi sztuki. Był może, że cały ten mój taniec św. Wita wywalał mu się przez rzytę i może typowy, jak matce choroby młodszych dzieci, jak pocie pewne już przez siebie przeżyte błędy u innych. Jego czułe ucho może nie zwracało uwagi na moje słowa, może docierało do samego źródła dotkliwosci. Co mu się we mnie podobało, to to, że się jednak nie zgadzał na siebie, że ze sobą walczył. W najbliższym kręgu nie byłem odosobniony w swoich szamotaniach. Zyga, który na zawsze wszedł do malarstwa polskiego, przeżywał okres takiego upadku twórczego, że mówił o samobójstwie. Była to ciężka choroba, na którą nie było rady. Należało czekać i być w pogotowiu.

Jedynym lekarstwem — niestety bez doraźnej wartości, działającym na długą falę — był Hubert sam. Oczy, które biegły po świecie, rozszargane do tego stopnia, że zdawało się, iż nie nie widzą, przecięt sobie notowały to życie heroiczne heroizmem, na które wyjątkowo czule odpowiadałem. Po pięć, sześć godzin stał przy sztalugach niemal aż do ślepienia. Kapało mu ze stałe zmęczonych oczu. Nogi i ręce drętwiały mu z zimna dlatego, że serce nie doprowadzało krwi do zbyt odległych kończyn, był to bowiem jeden z najwyższych wzrostem ludzi w kraju. W Paryżu, gdzie się nikt za nikim nie ogląda, za nim spacerującym z równie jak on wysokim bratem oglądały się tłumy. Odchodząc od sztalug rzucał się na łóżko, do którego zawsze trzeba było dostawiać skrzynkę, bo było za krótkie, i zasypiał snem kataleptycznym — tak bywał zmęczony. Budził się w swej rozległej pracowni już pogrążonej w burzościach zmierzchu. Lampa przybrana w czerwony fular łagodzący ostrość blasku, oświetlała stopy zeszytów, które rosły z roku na rok. Te zeszyty — dzienniki malarza — miały nam dać dzieło o sztuce od strony warsztatu, od strony trudu i rozumu twórczego, a nie od strony głupców, patrzących bez oczu, słuchających bez uszu, wężących bez nosa, utopionych w „woim śmietniku wiedzy, która jest taką wiedzą, jaką jest poezja. Nasze ubóstwo w tego rodzaju publikacje, pisane ręką artystów świadczy, że sztuka w Polsce dla niewielu jest chlebem powszednim. W literaturze pod tym względem jest jeszcze gorzej niż w malarstwie. Ja ścianach, półkach, na szafach, pozostawionych zawsze bokiem, błyszczały w skupieniu i uciśnieniu reprodukcje, które się co pewien czas zmieniały w zależności od kierunku światła wewnętrznego, od tych trudno uchwytnych sił wewnętrznych, które żądały, aby umiłowany Delacroix ustąpił przed Degasem, a Cezanne przed starymi Holendrami.

To życie pod sztalugami w męce, pracy, w zeszytach, w długich listach do młodych kolegów, którzy dopiero zaczynali, z ujawnianiem im ich błędów; to życie w niepojętej bezinteresowności i szczodrobliwości; we śnie przerywanym nieczystym wyjściem do kawiarni („każdy ma prawo do swego bilardu”), spacerem, z których każdy był spacerem ozdrowieńca; to życie, które otrzymywało niewiele, a dawało tyle; zmagające się stale z ciężarami ducha jak ranni w kolana z ciężarem korpusu, którego wagę muszą zmniejszyć, aby nie męczyć nóg — zachwycało mnie. Nie będąc zdolny do naśladowania, byłem przecież zdolny do miłości.

Rozbiegane oczy, które na niczym się nie zatrzymywały — widziały to wszystko tym ostrzej, że pod wyznaczeniami o stwardnieniu stylu i niepoceniu się mózgu, ukryłem bardzo pospolitą prawdę o głodzie życia, o wieczystej pogoni za przygodą, których nigdy nie miałem dość. Widziałem to życie, które przestawało na małym. Byłem zbyt młody, aby wiedzieć, że apetyty maleją z czasem. Porównywałem Huberta ze sobą i nie wychodziłem dobrze na tych porównaniach. Na wszelkich porównaniach z nim wychodziłem jak najgorzej. Nie chciał już nic, podczas gdy ja uparłem się być szczęśliwy. I byłem najnieszczęśliwszy na ziemi!

Widziałem te spodnie kończące się w pół lydki, te niedopinające się kolnierzyki od koszul — na godzinę przed dziurą, jak mówią żydowscy biedacy, rękawy ubrań kryzowane dziurą, gdyż nigdy nic nie kupował, a zawsze po kimś donaszał. Miał również i tę rzadką cechę, że oszczędzał na sobie, nigdy na drugich. Ci drudzy to byli koledzy malarze, między innymi chłopcy i Żydzi małoplastyczkowi, wygładzeni przez środowisko. Kochał ich inność, była mu droga, jako przejaw żywego życia, którego nie znał. Sam pochodził z rodziny ziemiańskiej, która już dawno nie posiadała ziemi. Pytają dzisiaj czym jest demokracja? Jest umiłowaniem wszelkiego godziwego życia bez względu na jego formę.

W akademii koledzy wolał: na latarnię z panem hrabią. Potem już go nie posyłał na latarnię. Zapomniał o tym hrabiostwie, gdyż był jak Łazarz biedny, gdyby nie ulomność natury ludzkiej, której słabe strony są bardzo różnorodne. Wlewał krew w ich żyły, czynił z nich żywych ludzi, przymuszał, iżby byli żywymi ludźmi, ośmielał do walki. Nazwisko Huberta jest nierozdzielnie związane z przebudzeniem życia malarskiego lat międzywojennych. Wróciwszy w kilku z Paryża, gdzie przyrzekli się z bliska wielkiej sztuce Zachodu, stanęli w poprzek wszystkiego co oficjalne i uznane. To dużo w Polsce, gdzie w sztuce jest miejsce tylko na jedno, a nie liczący odbiorców można zahukać jak królki. Twórcy ominęli przez główny nurt giną śmiercią przez milczenie, równoznaczna ze śmiercią z głodu. W kraju, gdzie jedyną namiętnością jest wódka, rektorzy akademii, przyjaciele ministrów dobrze osadzeni, zerknąwszy się z burzą tych ataków pytali: „Czego ci młodzi chcą?”. W Polsce, gdzie wszystko jest Tadek i Wladek, gdzie wszystko jest Wspólny Pokój, bonzowie rozkładając ręce mówili: „Niechby przyszli, niechby pogadali z nami, możebyśmy się dogadali”. Ale nie dogadali się. Ludziom Huberta chodziło o malarstwo. Byli nie do kupienia. Chcieli malować.

Przyglądałem się tej burzy z bliska. Lecz po latach dopiero zrozumiałem na com patrzył, pojąłem do jakiej bezkompromisowości powinna dojść wierność sztuce. Piękne nurty popłynęły w głąb, ale nie wyschły. Przeciwnie, blasku nabrały dopiero z czasem. Trwały od wszystkiego, tak trwały jak pamięć ludzka jest obraz ładnego człowieczeństwa. Gdy okrutna noc historii zgasła w nas po kolei wszystko co ładne i staliśmy się jak zwierzęta, pamięć o pięknym człowieczeństwie choć osłabiona, przecięt towarzyszyła nam po sam kres. I tyle w nas było ludzkiego.

Aha, grupa Huberta zwyciężyła. Przeciwnicy poddali się i zaczęli malować tak, jak chcieli hubertowcy. Przeciwnicy poddali się, bo byli niczym. Niczym zostali i po przyjęciu kanonów nowej wiary. Demokracja — wszyscy o tym wiemy — zwyciężyła dzisiaj w Polsce. Wszyscy stali się demokratami pod każdym względem. Ale Polska nie stała się jeszcze lepsza.

Na wprost mieszkania Huberta przy ulicy Filtrowej, rósł kasztan. Bywał zielony i biały, potem tylko zielony, potem robił się żółty, wreszcie obnażał i wytyczał swoje pręty — zmijał na tle murów jak popiół. Młodość jest wyjątkowo wrażliwa na dzieło przemijania, to jedna z jej tajemnic. Ale nigdy i nigdzie nie bywałem równie wstrząśnięty tą grą czasu jak wtedy, gdy patrzyłem na ten żółty kasztan. Wzruszał mnie jak wspomnienie niektórych zimierców. Pod sztalugami stał wiezień. Mocował się aby wydrzeć światu choćby nikły jego okruczeń. W jakiejś noweli Gorkiego chłop przyglądając się lampie elektrycznej wierzy, że to ludzie awizowali promień słońca. W tym pokoju wzruszająca ta myśl nie była przenosią.

Nie piszę przecież biografii Huberta. Chcę tylko powiedzieć, że był to najładniejszy człowiek mojej młodości. Każdy cech ma swoich świętych, swoich patronów. Nasz, ludzi sztuki, również. I każdy z nas ma jeszcze dodatkowo swojego własnego świętego.

III.

— Obywatelu, wróćcie! To nie tam! Na prawo idźcie, w tamtą ulicę!
Dziewczyna z karabinem przez plecy, z czerwonym opaską na ramieniu wyjaśniła mi przed chwilą dokładnie gdzie mam pójść. Ale na właściwym rogu, który powinienem był minąć, na chodniku, w błocie, u nóg przechodzącego tłumy siedział polski żołnierz bez czapki, strugi deszczu spływały mu po ogorzałej, chudej twarzy, przebitej jasnymi oczami, pusta nogawka leżała przed nim — był bez nogi — nie człowiek, lecz strzęp ludzki porzucony na chodniku. Nie czułem się na siłach przejść obok.

A widziałem już niejedno, był listopad 1939. Przeżyłem oblężenie i upadek twierdzy modlińskiej. Po kapitulacji, na placu pod Nowym Dworem przez trzy doby żyliśmy się surowym ziarnem. Na drodze do Prus, gnani piechotą, słyszeliśmy rżenia wśród ciemności nocnych — to żołnierze dogorywali. Słyszeliśmy jęki chłopów — ołaboga ołaboga — i te były jękami przedśmiertnymi. Wielka maszyna niemiecka od pierwszej chwili cięła grubo, armia na nieprzyjacielskiej ziemi nie bawiła się. Cierpieliśmy głód, konaliśmy z pragnienia. Żołnierze niemieccy kuli nas w zęby sięgając po koc, po płaszcz, po pas, po buty, któreśmy mieli na sobie, jeśli znalazły uznaniem w ich oczach. W obozie 40.000 jeńców stało pod kuchnią, nad którą dumnie szumiała swastyka; czekaliśmy na kawałek chleba, który był naszym chlebem, na odrobinę ciepłej zupy, sporządzonej z naszych zapasów. Sny czterdziestu tysięcy ludzi krążyły wokół jednego i tego samego, wokół „gęstego”, by dostać gęstą zupę. Po wydotaniu się z obozu widziałem tłumy kobiet i dzieci, wysiedlone tak jak stają. Zdawało się iż barbarzyństwo sięgnęło kresu — już wtedy, gdyśmy się znajdowali na samym początku tej wielkiej drogi. Od wczoraj byłem we Lwowie. Noc spędziłem w przytułku. Następna czekała mnie również tam. Miałem więcej wsty, niż włosów na głowie. I ani jednego bliskiego człowieka.

Widziałem wiele, ale zachowałem nadzieję dotąd. Tu, na ulicy, już jej nie było. Ta pusta nogawka, po której przechodnie brodzili jak po wiechciu słony, ta żołnierska ręka wyciągnięta po jemużnę do polskiego tłumy — gdyż tłum składał się z przybiegłych z całego kraju — ten młody żołnierz był nie tylko jak strzęp ludzki, ale i jak strzęp Polski, rzuconej w błoto.

Nie był odosobniony. Na każdym rogu stała Polska zebrząca. Na każdym rogu upadała, a jej synowie okryci zielonymi mundurami jak szablionymi sztandarami wyciągali ręce. W nikim ból upadłego narodu nie posiadał tego gryzącego wyrazu co w kalekim, zebrzącym żołnierzu. Stali po kilku śpiewając ochryplymi, brzydkimi głosami, które targały wnętrzościami. Gdy pewnego listopadowego wieczoru poeta przybłąkany z Warszawy, w sali nabitą ludźmi, powiedział swój wiersz „Żołnierz polski”:

Ze spuszczoną głową, powoli
Idzie żołnierz z niemieckiej niewoli

Duchną drogi, ciągną obce wojska
A nad nimi złota jesień polska.

ten sam tłum, który wydawał się obojętny i nieczuły na ulicy, zaplakał strasznie. Ludzie chowali głowy i długo, długo ich nie podnosili. Dzisiaj ten wiersz niewiele powie tym co tam nie byli. Oddział podchorążaków pięknie śpiewający na ulicy Łódzkiej nie będzie jego właściwą ilustracją. Nie odnajdziecie w nim naszych lez, które najszybciej w świecie wysychają.

Tej zimy chorowałem na Polskę, jak ktoś choruje na gruźlicę lub na raka. Nie chciałem

tego życia, które mnie otaczało, nie uznawałem go. Zastawiały mi je niewidzialne grzyby dalekiego kraju. Tęsknota wzniosła przeszkodę, poza którą niezgo nowego nie dojrzałem. Wciągnięty w potężną sprawę, której sensu, celu i prawideł nie chwytalem, reagowałem jak ptak, jak drzewo. Trawiłem tylko siebie, nie trawie świata. Odpychało mnie od ludzi, którzy przeszli przez świeże zwłoki ojczyzny mówiąc, że pozostawili za sobą trupa sanacji. Trup był ojezyczny, trup był narodu, nie sanacji, sanacja pchnęła nas tylko w dół. Jaka ona tam była ta matka — była jedna. Pluła na godnych, nie dbała o tych, co byli godni, była okrutna i bezmyślna, ale była nasza. Była ta, której się nie wybiera.

Chorowałem tej zimy na Polskę, immunizowany przez gorzko-słodką tęsknotę jak przez wielką miłość, która wyłącza świat dzisiejszy sycąc nas tym cośmy otrzymali wczoraj. Odsuwałem się od wszystkiego co było kompromisem. Wysubtelniłem swoje oddanie zasadzie wierności jak wielcy kochankowie. I tak jak oni odnosiłem najcześnie triumfy, których twórcą i jedynym świadkiem bywa serce ludzkie. Są bowiem niewypowiedzialne jak sny.

Tej zimy Polska miała dla mnie jedną twarz: Huberta. I mieściła się na górze w pokoju na Filtrowej. Zapach świtów tej groźnej zimy roku 1940 był zapachem ulicy Filtrowej. Cichą modlitwą tych dni, cichą nadzieją: ażeby się jeszcze zobaczyć, ażeby się doliczyć.

Dwudziestego trzeciego czerwca 1941 zacząłem się w bramie przy ulicy Pełczyńskiej we Lwowie. Przed sobą miałem cytadelę, w cytadeli Czerwoną Armie, za sobą park Stryjski i desant ukraińsko-niemiecki. Karabin maszynowy umieszczony na drzewie w cytadeli prażył w stronę parku. Dopiero teraz poczułem wyraźnie, że to mój karabin bije z drzewa tak jak oszalałe z radości tłumy warszawskie latem 44, które pokazując sobie samoloty rosyjskie, wołały ze łzami w oczach: Nasz! Nasz! — W ostatnich dniach czerwca, kiedy Armia Czerwona odsuwała się na Wschód, zrozumiałem, że wraz z nią oddala

STANISŁAW JERZY LEC

Pod Amelinem

Zupy-m do ust nie doniósł.
Konni sztabu dopadł
Ze Niemcy, Niemcy! Młoda
kuchla, wiejska żydówka
w kącie cisną ją warząchew
i muchami obsiadły,
wziąwszy z gwoździ karabin
biegła tam, gdzie na drodze
już zebrane kompanie
szły z ochami rozkazów
w las dzielący od wroga.

Chłopki było ryzzące
z zagród ciągnęły w pola,
a maszyny do szycia
gospodarze wynoszą
z chałup mogących spłonąć.

Był maj. Na leśnej ziemi
miękkiej, ciepłej, wilgotnej,
w której czujesz zwierzynek,
leżałem patrząc w pole —
w róg — każdy krzak kartofli.
Tuta! na brzegu lasu
biło źródło. Jednak
serce waliło szybciej,
lecz najszybciej w przyrodzie
automaty zabiły.
I słuchając jak źródło
z dna gaworzy jak dziecko
człowiek się opamiętał
z palcem na cynglu, jak na
klamce niebytu. W bitwie.

Czy ten hełm co się podniósł
teraz z nad kartoflika
słyszysz tę pieśń źródelka
w swojej ojczystej mowie?

Spadły pierzaste liście.
Kule szły za wysoko.
Chłopcy wleźli na drzewa.
Nasze „fińskie kukulki”
ziały ogniem jak gdyby
ogoniaste wiewiórki
zeskakiwały w zboże
tamiąc z traskiem gałęzie.

Już nas nie tną komary,
Już nie szumią mgły muszek,
jedna jest tylko muszka,
którą okiem dosiadasz:
u wylotu twej lufy.
Z każdą kulą wylatasz
i uderzasz we wroga
aż dziwota cię bierze,
że wśród mchów miękko leżysz
i po wścieklej pepeszy
łażą młotki, tak sobie.
Pachną grzyby, co będą,
Łuski dzwonią wciąż w korzeń,
który z ziemi wystaje.

się i ojezyczna. Wersal długo dogasał we mnie i w drugich — są to zawile sprawy czekające, jak wiele z tego cośmy przeżyli, na swojego pisarza. W ciągu minionych lat widzieliśmy iż rzeczywistości uczuciowe, moralne, materialne przechowujemy długo po ich wygaśnięciu. Jesteśmy istotami, które z trudem i powoli się zmieniają, stąd przekonanie iż się w ogóle nie zmieniamy. Jesteśmy zawsze uwstecznieni w stosunku do dnia dzisiejszego, to zarazem nasz urok i nasz tragizm. Zmieniłem się od zimy 1940. Ostatnie dni czerwca 1941, kiedy Niemcy napierali na Lwów, stwierdziły ku mojej goryczy że nie dość wcześniej i nie dość mocno.

Potem noc spadła na świat. Od czasu do czasu drogami tak krętymi, że trzeba by je długo tłumaczyć, dochodziły mnie wiadomości, że Hubert żyje — na Zachodzie. Gdzieś w 42, czy w 43 z jednego z listów dowiedziałem się, że nie tylko żyje, lecz — jak dawniej — żyje szlachetnie i nie z myślą o sobie.

IV.

W ostatnich dniach pojechałem do Paryża, za którym nie tęskniłem tylko ci co go nie znają. O zmianach dokonanych przez wojnę i zmienności francuskiego poglądu na świat mam zamiar wkrótce pisać. Bawiłem przycepiony do pewnej delegacji, która miała rozmawiać z kilkoma osobami z naszej zachodniej emigracji. Te — na początku zwłaszcza — przyglądały się nam jak obłożnie chore przybywającemu z ulicy. Choremu powiadają, że słońce świeci, że ciepło, że ludzie spacerują. Ale choremu nie o to chodzi. Powiedzieć mu jak słońce świeci, jak ludzie chodzą po ulicy, jak pachnie ulica. Opowiadaliśmy w miarę naszych talentów. Ale nasi słuchacze, gdy im się mówiło: wierzbą, chcieli ją mieć dotykając i zieloną. Gdyśmy im powiedzieli: Marszałkowska, szukali jej w naszych oczach i ustach. Nielatwa rzecz zaspokoić tęsknotę.

Pewnego razu pan Z. jeden z „paryskich” Polaków spóźnił się na posiedzenie. Spotkał znajomego, który go zatrzymał. Tym znajo-

mym był — Hubert. Gdy zbierałem informacje co do sposobu osiągnięcia go, okazało się że nie stronię od szczegółów, co mnie uderzyło. Dawniej bałbym się rozmowy na temat kogoś bliskiego. Nikt nigdy nie dba o ostrze swych niedbale rzuconych słów. Nie poświęci nikt nigdy ani jednej myśli ranom zadany mimochodem. Zmieniłem się, postarzałem się, upodobniłem do innych, czego, póki byłem młody, obawiałem się może najwięcej.

Zatelefonowałem. Pytał kto i co. Odpowiedziałem, że człowiek który przywozi mi pozdrowienia z kraju od bliskich. Poznałem głos. Na chwilę zabłysty światła młodości, zaszumiały drzewa, które zdawały się być odarte nie tylko z liści, lecz i z kory, niebo paryskie zmieniło się w niebo ulicy Filtrowej. Prosił, żebym czekał na uliczce w pobliżu Placu de la Concorde.

Miał na sobie mundur oficera angielskiego z napisem Poland na rękawie, na głowie baszkijki. Przybijał z Włoch, z Armii Andersa, w Paryżu miał być krótko. Twarz jego zrobiła się jakąś naga, rzekłoby — życie uszło z niej, nabrała srogości w zaciśniętych ustach, wracała do wyrazu nadanego jej przez układ kości. Była to twarz człowieka, który przeżywał ze śmiercią, człowieka odchodzącego. Bardzo wychudł.

Już z daleka rzucił mi spojrzenie, w którym był odcień ostrości, lecz nie zdziwienia. Był pozbawiony tego daru na równi z nami w ojczyźnie. Historia im i nam go odebrała. Za dużo było wszystkiego. Ucałowaliśmy się.

Zaprowadził mnie do chłodnej, ponurej i prawie pustej cukierni, która przypominała mi naszego Kleszcza na Niecekiej. Otrzymałszy lutę na sacharynie, nie więcej niż dawano w cukierniach, Paryż był jeszcze źle z żywnością. Przyglądaliśmy się sobie długo i uważnie, oddychaliśmy ciepłem jak dwa dobrze nagrzone pieca. Dłuższy czas próbowałem słów jak kluczy. Padaly odśladając dalekie i drogie dzieje, oderwane jak słodycz w życiu.

Zapytałem go czy wraca do kraju:

— Hubert, tam nam ludzi trzeba...

Uśmiechnął się.

Rzeka polska płynęła w tych latach trzema nurtami. W lasach syberyjskich i pod Lenino, w pustyni Libijskiej i pod Cassino, na Wschodzie i na Zachodzie tęskniono za głównym nurtem, za krajem, o którym wiedzano, że zdobywa się najpiękniejsze bohaterstwo. Tak, była to ziemia niesłychanego, niezwykłego poświęcenia. Ale, Hubert, tam by również mat, mat tak straszny, że na obczyźnie nie można o nim mieć pojęcia. Miał Bolek, twój przyjaciel, którego zostawiłeś w rozważaniach nad Prusem, nad elementami powieści zachodniej i rosyjskiej tak odmiennej jakby była nie słowami pisaną, tak świeżo przez Jasia kupionym Gierymskim, nad muzykę Prokofiewa i Szymanowskiego, ten mój Bolek, który wylegiwał się do południa a i przez resztę dnia był niezdolny do niczego, z lasów syberyjskich powrócił do ojczyzny jako major na czele oddziału. Pierwszy widok jaki nasunął się jego szczęśliwym i rozkochanym oczom był taki: pole obsiane ludźmi, starzy i młodzi, kobiety i dzieci, wszystkie kopią. Posyła swego kaprala. Ten wraca i opowiada, że odkopują trupy ludzi zamordowanych przez Niemców. — Po co? Czy po to aby ich po ludzku pochować? — pyta były badacz powieści dziewiętnastowiecznej. — Nie, szukają resztek złota niezrębionych przez plutony egzekucyjne. Zagląda zmarłym do ust i wybijają im zęby. — Jak oni śmia! Jak śmia! — To nie ludzi wykopują, to sydlów... Trudno, to były sydy i to było ciemne chłopstwo Lubelszczyzny. W Warszawie podczas powstania zginęło dwieście tysięcy osób. Po wywołaniu miasta wśród najbardziej świadomej części narodu powstał nowy przemysł: odgryzanie zmarłych w tych samych co na Lubelszczyźnie celach. Niemcy nie pozostawili nam 20 milionów demokratów. Przeciwnie, zostawili kilka milionów ludzi, odwykłych od pracy, a nawiąkłych do lekkich i wysokich zarobków, czynnych przez swój brak moralności, który chcemy wytłumaczyć wojną. Czymkolwiek go tłumaczmy, brud moralny żyje w kraju, plewi się i trzeba go usunąć. Do tego trzeba nam ludzi! Wartościowych! wartościowych! Hubert, człowiek polski cierpiący ogromnie i zmarniał w tym cierpieniu. Hitlerzyzm wszedł głęboko w duszę człowieka polskiego. Potrzeba nam waszej pomocy! Jesteśmy zobowiązani do tej pomocy! Kol-tun w kraju nie widząc was, przeprowadza znak równania pomiędzy wami i sobą. Wierzy święcie, że pochwalicie jego ciemności. Te destrukty nie pozwalają się moralnie zakwalifikować byle jak. Oni uważają się za bohaterów, oni powołują się na was, oni od zwykłego łapownika, złodzieja, do mordercy z NSZ — krzyczą, że wypełniają waszą wolę. I tak jest. Póki jesteście na obczyźnie, póty dostarczacie im legitymacji politycznej i moralnej. Kraj nigdy nie umiał żyć. To największe zadanie nasze i wasze: nauczyć żyć Polaka; jesteście nam potrzebni nie tylko dlatego, że umiecie dużo, że brak nam fachowców i uczonych, artystów i rzemieślników, ale i dlatego, żeście mniej cierpieli, więc możecie być lepsi. Oddychaliście świeżym powietrzem Zachodu, a my pragniemy wszystkiego co ładne, ludzkie, szlachetne, Hubert, kraj czeka...

A ja czolo octeram
jakimś liściem łopuchu
szorstkim jak ózór krówy.
Chce się pić. A do źródła
na trzy śmierci wystarczy.

Chcę zrozumieć syk Niemców,
chcę zwycięstwa w tej bitwie
i chcę żyć właśnie teraz,
kiedy śmierć ze zdziwienia
lub spieszego oddechu
gwiżdże wokół mej głowy.

Kłosa sobie podają
miękkie cież samolotu.
Z dołu biją talerze.
Fiseler-Storch ładował.
Zabrał dowódcę esesów
ciężko rannego w nogę.

Płonął dwór w Samokłeskach.
W Syrach padały chały.
Gdzie się kończył Amelin
ku Przybysławskiej Woli
rzały w las nasze konie
pośród drabin taboru.

Obok zamilkł automat.
To była śmierć żołnierza.

Z lasu w zielone żyto
jak kropla krwi przeciekła
bitwą spłoszona sarna.
Jak bałogami gnana
przez samotne wystrzały
wraca, rzuca mi ślając
wzrokiem parę orzechów.
Sarnie oczy. I trwa tak,
kiedy z za ciszy dębu
wpadł gspowaty Bolek
klnąc poetę i sarnę.
Święty ołczer. (Wioski
tak nazywały tułaj
otocera oświaty).

Zmierzech z kullstych ról dymów,
świętojańskie robaczki
wiatr przywiewał z pożarów.
Samochody niemieckie
niecierpliwie trąbiły,
wybucha a raz po raz
syntetyczna benzyna,
ze zbóż rosły rakiety
jak oszalałe kłosa
ale gwiazd nie sięgając
gasły.

Niemcy kosili
głosami swoje linie.
To był odwrót Zmierzech tylko
miał dalek naszą bitwę
póki gwiazdy jak ziarna
padać jęły w wóń nocy.

Tak tuszono na Remblów.

Odpowiedział mi na to wolno i dziwnie, jak mi się zdawało, ostrożnie, że mimo usiłowań przeciwdziałania w tym kierunku, ludzie przecież wracają. Człowiek prosty, który mniej myśli, mniej wątpli, chodzi przez zieloną granicę, na szwarc. Chodzą również inteligenci i oficerowie z obozów, nie czekając na wynik oficjalnych pertraktacji. Im ktoś dłużej poza krajem, tym go trudniej utrzymać. Jeńcy z powstania warszawskiego na ogół mniej palą się do powrotu. W obozach jeńców zawiązuje się grupki, działające konspiracyjnie, gdzie niedługo bowiem powrót do kraju uważany jest za zdradę i karany bywa jak zdrada. Działając w tajemnicy we własnym obozie, muszą tajemnicę zachować i na zewnątrz, wobec oficerów angielskich czy amerykańskich. Jeśli im się uda wydstąpić na stronę sowiecką, oficerowie rosyjscy oficjalnie nie mogą o tym wiedzieć. Wiele jest przeszkód na drodze do kraju... Kraj — tak, to mocne!...

Zauważyłem zmianę w jego sposobie mówienia. Nie kończył zdań, gubił się w ustach, jakby sił nie miał, by je wypowiedzieć, jakby nawet sił nie miał by je budować. Mówił pojedynczymi słowami. Tak mówią starcy, tak przemawia również ciężkie zmęczenie.

— Tu wielkie siły. Znów w grze Dwa obozy...
— A ty, Hubert?
— Ja?
— Tak, a ty chcesz wracać?

— Czy chcę wracać? Uśmiechnął się. — Dla mnie kraj jest zamknięty. Nie mogę wracać. Ty, ty przecież wielu rzeczy nie wiesz o mnie.

„Wiele rzeczy” mieściło się w niewielu słowach. „Wiele rzeczy” zaczęło od tego, że uwierzył temu co głosiła propaganda niemiecka, że Katyń był dziełem Rosjan. I tu był punkt zwrotny jego życia.

Katyń!... W maju 1940 Lwów miał dwa punkty gdzie było czarno od ludzi. Plac pod teatrem, mieścił się tam tołczok, albo jak mówią w Krakowie tandeta. Na tym placu historia przetasowywała się w oczach, warstwy ustępujące wręczały berło — ubrania, bieliznę, zegarki — nowo wstępującej. Konduktory zatrzymując tam tramwaj wołali: — Szmuglerzy wysiadają — i tramwaj pustoszał. Miało to taki wydźwięk jak gdyby dzisiaj pod Wodnym Rynkiem w Łodzi zawołać: Szabrownicy wysiadają! — Drugim punktem była ulica Orzeszkowej, gdzie komisja złożona z oficerów niemieckich zapisywała na powrót do kraju, który już się nazywał Generalgouvernement, co brzmiało jak nowoopatentowany środek lekarski.

Na tejsze ulicy Orzeszkowej stało 60.000 Żydów polskich, którzy chcieli wracać. Niemcy i Rosjanie nie wierzyli własnym oczom. Co kierowało 60.000 ludzi, którzy całymi dniami wystawiali na Orzeszkowej i błagali, aby im pozwolono minąć most w Przemyślu? Czego oczekiwali od władzy, która głosiła wszem wobec, że ich zgładzi, ci — jak ich Rosjanie nazywali — Gitler-Juden. Należy przypuszczać, że rozumowali tak: łatwiej nam będzie przeżyć wojnę na podwórkach Gęsiej, Dzikięj i Nalewek, które znamy, które są naszą ojczyzną, niż w bezkresnych, surowych stepach Azji. Gęsia to bądź co bądź Europa, na wschód od Lwowa zaczyna się Azja. Bali się Rosji, Wschód przerażał ich, odstręcał niższy standard życia. W maju 1940 Europa spała, ani przeczuwając co czemu idzie. W maju 1940 tak zwani „bijeńcy” za Bugu — część pogrążonej we śnie Europy, gdzie ludzie żyli sobie i dla siebie — patrząc rozładowanymi i nieświadomymi politycznie oczami — na naród, który się wszystkiego wyrzekł aby być przygotowanym, widzieli tylko surowość życia. Filmy rosyjskie — te same, które zachwycały na Marszałkowskiej czy na Chmielnej — zaczęli oglądać pod nowym, własnym kątem jak krawiec pisma ilustrowane. Zaczęli zwracać uwagę, jak ludzie są ubrani, jak żyją. I znajdowali, że ubrani są źle, że żyją biednie. W „bijeńcach” za Bugu odżyło to wszystko co przez 20 lat pisano i mówiono o bolszewikach. Nie zafali Rosji. Natomiast Niemcy, jakkolwiek już nie Niemcy wilhelmowscy, byli jeszcze — pomimo wszystko — narodem europejskim... „narodem poetów i myślicieli”. Sugestie społeczno-myślne mają długi żywot. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej Żydzi w większości pozostali na miejscu nie tylko dlatego, że trudno było uciec przed zmotywowaną armią, ale i dlatego, że hitlerowców uważali — mimo wszystko — za Europejczyków. Żołnierze Wehrmachtu wręczając łopaty swym ofiarom, by sobie sami grób kopali, nie mogli wyjść z podziwu: czemu ostatecznie na miejscu? Nie pisano wam w waszej prasie co was czeka? Nie wierzyliście? Przyznajcie, żeście nie wierzyli. Żydzi wierzyli w Niemcy, ale nie wierzyli w Rosję. Już sto razy pisano, że transporty z Zachodu, które szły wprost „do gazu”, odbywały się bez asysty. Dlaczego? Dlatego, że w Europie wierzono, że Niemcy to europejski naród. A Winston Churchill, mówiący w styczniu 1945 r., a więc po Majdanku, że w Polsce podobno zagazowano trzy i pół miliona ludzi, czyż nie składa zarazem dowodu nieufności skierowanej w inną stronę?

Hubert również uwierzył, że Niemcy nie byli zdolni do Katynia, który, nam w kraju znającym wydolność hitlerowców w tej dzied-

zinie, wydawał się czymś dla nich na jeden zab. Uwierzywszy w zbrodnię użył wszystkich sił do walki z tymi, którzy ją według niego popełnili. Ponieważ stracił w Katyniu wielu bliskich, z którymi szedł przez życie, uważał za swój obowiązek włożyć w tę walkę całą namiętność, którą pamiętałem skądinąd. Głosił nienawiść do Rosji i do Rządu Jedności Narodowej. Zerwał z wszystkimi, którzy nie zgadzali się z nim. Zaczął ich nazywać zdrajcami i targowicznymi; nazwy te są często w użyciu wśród naszej emigracji zachodniej. Był człowiekiem dużej wiedzy, znał Zachód, znał języki, rychło mu więc podsunęto odpowiedzialne stanowisko w prasie i propagandzie, gdzie swojej rzekomej prawdzie mógł nadać kształt ogólnopolityczny. I korzystał niechętnie z tego stanowiska.

To wszystko mieściło się w paru słowach treściwych jak nekrolog. Przyznam się, że w maości ducha ubodło mnie w nich coś innego. Te sześć lat jednych dźwignęły wysoko, innych strąciły w dół. Bywały wloty jak z bajki i śmierci jak tren z gałganów do królewskiej sukni. Któż z nas — dla historii, dla losu — nie miał swych osobistych propozycji, propozycji serca, dotyczących ludzi, których przed wszystkimi innymi historia winna była uwzględnić? I któż bardziej zasługiwał na wielki los niż Hubert? A oto siedział przede mną ten wielki los z tak beznadziejnymi oczami!... Znów zapadałem w sen o życiu. Długo nie mogłem się odezwać.

— Rozumiesz, że nie mogę wracać?

Nie, nie rozumiałem. Dopiero gdy spojrzał na mnie, wtedy zrozumiałem. Zbliżył i wiedział o tym. Marzył o ojczyźnie, jak marzyć można na Placu de la Concorde, wśród mgieł londyńskich czy w syberyjskich lasach. Powinien był przyjść i powiedzieć: zawińtem, odpuście. Ale należał do ludzi chorych na szlachetność. Nas uważał za silniejszych. Swoje odjeście od ludzi, z którymi szedł dotąd razem, uważałby za zdradę, za opuszczenie słabych. Są natury, które nigdy tego nie uczynią. I on właśnie do nich należał. Żadne argumenty nie mogły przesłonić faktu, że wyborowi należało dokonać między słabymi a silnymi. Nie chciał prawdy tylko dlatego, że była po stronie silniejszych. Taka była jego ludzka ta-

ADAM SCHAFF

Rewolucja Październikowa a Polska

Wiele zostało zrobione w tym celu, by wypaczyć właściwy stosunek rewolucji październikowej do sprawy polskiej. Lata całe pracowała reakcja nad tym, by zamienić sprawę początków niepodległej państwowości polskiej i stosunku do niej rewolucyjnej Rosji. I dziś jeszcze przeciętny inteligent polski święcie wierzy w bajki o najeździe sowieckim na Polskę, Karmionu legendą o „Cudzie nad Wisłą”, nie wie, że nie potrzeba by było żadnych cudów, gdyby nie polityka reakcji polskiej, która wypełniając rozkazy zagranicy, wywołała nieszczęsną wojnę polsko-radziecką.

Jest prawdziwym curiosum historycznym, świadczącym wymownie o metodach wychowania w Polsce przedrewolucyjnej, iż poważna część obywateli polskich nie wie po dzień dzisiejszy, że Rosja sowiecka była pierwszym państwem, które uznało niepodległość Polski i którego zwycięstwu nad caratem, a tym samym nad całym ówczesnym porządkiem polityki i sojuszw europejskich Polska zawdzięcza swą niepodległość.

Krótki stosunkowo okres czasu dzieli nas od pierwszej wojny światowej i tego przewrotu w stosunkach międzynarodowych, jaki nastąpił po jej zakończeniu. Przebieg wypadków został już jednak tak zagmatwany i wypaczony, że należy niejednokrotnie dokonywać głębokiej rewizji panujących poglądów, by dać świadectwo prawdzie. Lwia część zasługi w tym gruntownym pomieszeniu pojęć przypada w udziale sanacji, która w wąsko-partijnym interesie otoczyła ten okres mitem.

Sprawa niepodległości Polski wyglądała podczas pierwszej wojny światowej nie szczególnie różowo. Poważnym minusem było w pierwszym rzędzie, wewnętrzne rozdarcie w obozie niepodległościowym, który zależnie od zaboru stawał na innego okupanta. Aristokratyczne i szlacheckie koła w zaborze austriackim wysuwały koncepcję Polski, wchodzącej w skład monarchii Habsburgów na zasadzie unii personalnej. Krakowski Naczelny Komitet Narodowy z Daszyńskim na czele, pod którego egidą narodziły się Legiony, również reprezentował orientację austriacką. Studnicki, z niewielką stosunkowo grupą, reprezentował orientację niemiecką. Istniała również orientacja rosyjska, reprezentowana głównie przez

jemnica. Zresztą? Zresztą może się bał, po prostu bał i strach paraliżował jego decyzję?

Już wiedziałem że każde słowo jest zbyt ciężkie, że już dawno nie chodziło o Katyń. Nie był dobrze widziany u tych którym służył, na to był zbyt pięknym człowiekiem, aby się mieścił w atmosferze wojska, które pamiętam sprzed września. W 1939 był rotmistrzem, po sześciu latach posunął się o jeden stopień. Nie przyjmowano go na uroczystościach, które bywają zbiegowskim dobrze notowanymi. Drażniła zapewne jego inność, inność, którą przed wojną nazywano krótko — komunizmem. Wykonywał robotę, ale nie był swoim człowiekiem. Nic go z nimi nie łączyło prócz jednej, ciężkiej omyłki.

Cisza trwała dobrą chwilę. Pomyślałem: Miasto w gruzach, większość naszych bliskich pod ziemią, ci co zostali — rozsiani po świecie. W każdym z nich kawał naszego serca, kawał przeszłości. Kraj poradzi sobie, wyjdzie z ran. Ale my! Ale nasze życie! To nasze zaszranie życie wśród gruzów, zmarłych i nieobecnych!...

Powiedział raz jeszcze te słowa, które były dla mnie jak pchnięcie nożem i poruszyły aż do płaczu jak czasami czyjaś bardzo wielka uroda:

— Nie mogę wrócić. Jestem człowiekiem przegrany. Jestem człowiekiem skończonym.

Dodał:

— Nie maluję.

I głosem jakby z samego dna:

— Człowiek przegrany nie jest twórczy. Ciężki, nieszczęśliwy tak, nigdy — przegrany. Nie mam oczu, nic nie widzę. Widzieć mogę tylko w kraju. Jestem sam. Straszna rzecz — emigracja...

Po chwili:

— Nie słyszałeś nic o moich płótnach?

Spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem z naciskiem, aby odsunąć wszelkie wątpliwości:

— Nie, nie wiem...

Pamiętam z jakim samozaparciem budował siebie, z jakim wyrzeczeniem mocował się o okruh wizji. Nie należał do tych, do których Bóg się uśmiecha. Przeciwnie, należał do tych, których nie zauważa całymi latami. Ledwo, ledwo udawało mu się schwycić dżban z ży-

ciodajną wodą, a okazało się, że trzeba go nosić przez wyboje, przez wertepy, w ciemnościach gdzie każdy krok grozi upadkiem. Z najwyższym trudem dopracowywał się wyników, pomimo to miał piękne płótna, które czekały na ocenę nowych oczu. Nie doczekały się... Źle i dobre, wszystko co posiadał łącznie z tą stertą zeszytów spłonęło w pierwszych dniach sierpnia w Warszawie. Nie miał nic, był biedniejszy od ostatniego nędzarza. I mówił, że nie ma już do niczego sił. Jakże miałem mu powiedzieć prawdę?

— Pisano mi z kraju, że wszystko poszło z dymem. W powstaniu. Zaraz z początku. Wszystko. Nie zakopali.

— Nie wiem, Hubert, nie słyszałem...

Podnieśliśmy się obaj.

— Rozstajemy się. Nie wiem czy się jeszcze kiedyś zobaczymy. Wyjadę prawdopodobnie. Daleko. Ruszę może już niedługo. Z jednego z portów angielskich. Do Kanady. Anglicy niechętnie nas widzą na wyspie. —

Urwał. Nagle spojrzał na mnie serdecznie, blisko i rzekł:

— Daj Boże, aby się okazało, że nie miałem racji...

Odwrociwszy głowę, dodał bardzo cicho:

— Tak będzie lepiej — dla Polski. Wyszedł już się nie obejrząwszy. Widziałem tylko jak sięgnął po chustkę i zbliżył ją do oczu.

Utajona nadzieja serca, najśladzsy ze snów niewoli — oto leżały w gruzach. Jakież ból zobaczył naraz tego, którego się uważało za koronę serca w takim opuszczeniu, w takiej rozpacz. Ileż to razy zdawało się, że rachunek kłęk został zamknięty. Jeszcze nie. Jeszcze długo nie.

I gdzież on pojedzie? Do Kanady pojedzie. Czyż za Polską wypłacie, a ustom dalej nakaże mówić nienawiść której nie czuje. Do Kanady pojedzie, gdzie ani jeden żywy strumień ku niemu nie popłynie. I zacznie czekać rażony tęsknotą, która zmieni jego noc w drezczącą jawę, tęsknotą za krajem tak gorzkim dla nas, a tak słodkim na obczyźnie...

Boli. Nie mówcie mi nic. Wiem wszystko. Ale są sprawy, które nie wyczerpują się w życiu. Pozostaje gorzka reszta dla której gdzieś miejsce jak nie w sztuce. Spokój, spokój, piękne sny o życiu...

endecję, trybuną której był stworzony w Warszawie Polski Komitet Narodowy.

Jeśli idzie o państwa zaborcze, to interesowały się one sprawą Polski o tyle tylko, o ile mogło to wciągnąć naród polski w orbitę ich interesów. Na początku wojny rząd carski ogłasza projekt utworzenia autonomicznej Polski pod berłem cara. W okresie klęsk austriackich, Niemcy ogłaszają w roku 1916 projekt utworzenia Państwa Polskiego pod protektoratem państw centralnych. Gdy państwa centralne wydają 5 listopada 1916 manifest o utworzeniu „niezależnego” Królestwa Polskiego na ziemiach rosyjskich, rząd carski odpowiada 15 listopada manifestem o utworzeniu autonomicznej Polski w granicach Imperium Rosyjskiego. Należy podkreślić, że Ententa nie mogła się wówczas zdobyć na nic więcej, jak na poparcie stanowiska caratu. Wbrew wszelkim mitom nie było wówczas mowy o niepodległości Polski. I przyjść musiała dopiero rewolucja październikowa ze swym zdecydowanym stanowiskiem w kwestii narodowej, by rozciąć ten węzeł gordyjski. Uznanie przez Rewolucję Październikową niepodległości Polski bez żadnych zastrzeżeń powstało zagadnienie na nowej płaszczyźnie. Uznanie to zmusiło również Ententę do zajęcia zdecydowanego stanowiska w sprawie Polski w obawie przed zbytnim wzmocnieniem sympatii do rewolucji rosyjskiej w Polsce. W dalszym okresie zaś, zaczęto sprawą polską spekulować dla reakcyjnych celów stworzenia bariery przeciw bolszewizmowi.

Jest faktem historycznym, a fakty są rzeczą upartą, że pierwsze uznanie bez zastrzeżeń niepodległości Polski nastąpiło ze strony radzieckiej. W ten sposób rewolucja październikowa stała się preludem do niepodległości Polski. Rewolucja obaliła ten porządek polityczny Europy, ten od dziesiątków już lat trwający układ sojuszw międzynarodowych, dla których niewola Polski była jednym z czynników konstruktywnych. Pod obuchem rewolucji ten cały gmach runął. I to był pierwszy ogólnopolityczny, europejski rezultat przewrotu. A wolność Polski zależała od całkowitego przeobrażenia się Europy. Zasadniczą tezę bolszewików w kwestii narodowej była stara maksyma marksistowska, że „nie może być wolny naród, uciśkający inne narody”. Partia bolszewicka była też w całej swej historii zde-

cydowanym obrońcą prawa do samookreślenia narodów uciskanych. Lenin niejednokrotnie podkreślał prawo Polski do samodzielnego bytu państwowego. Nic też dziwnego, że zwycięska rewolucja proletariacka wysuwa kwestię narodową, jako jedno z naczelnych swych zagadnień.

23 listopada 1917 władza radziecka wydaje za podpisem Lenina i Stalina „deklarację praw narodów Rosji”, ogłaszając równość i suwerenność narodów, wchodzących w skład imperium rosyjskiego, ich prawo do stanowienia o swym losie aż do oddzielenia i utworzenia samodzielnego państwa.

12 stycznia 1918 roku delegacja rosyjska w Brześciu Litewskim ogłasza następującą doniosłą deklarację w sprawie polskiej:

„Z faktu wchodzenia ziem okupowanych w skład dawnego Imperium Rosyjskiego, — Rząd Rosyjski nie wyciąga żadnych wniosków, które nakładałyby na ludność tych ziem jakiejkolwiek obowiązki państwowo-prawne w stosunku do Republiki Rosyjskiej.

Stare granice dawnego Imperium Rosyjskiego, granice stworzone przez przemoc i zbrodnię wobec narodów i w szczególności wobec narodu polskiego, obalone zostały wraz z caratem.

Nowe granice braterskiego związku narodów Republiki Rosyjskiej z narodami, które zechcą wyjść poza jej rubieże, powinny być określone przez nieskrępowaną decyzję tych narodów”.

29 sierpnia 1918 r., gdy Polska była jeszcze pod rządami Beselera, Rada Komisarzy Ludowych uchwalała dekret, anulujący wszystkie traktaty, zawarte przez rządy carskie.

Artykuł 3 dekretu głosi:

„Wszystkie traktaty i akty, zawarte przez rządy b. Imperium Rosyjskiego z rządami Królestwa Pruskiego i Monarchii Habsbursko-Węgierskiej, dotyczące rozbiórów Polski, niniejszym zniesione zostają raz na zawsze, jako sprzeczne z zasadą samookreślenia narodów, z rewolucyjną świadomością prawną narodu rosyjskiego, który uznał nienaruszalne prawo narodu polskiego do niepodległości i jedności”.

Podkreślić należy, że słowa te zostały wypisane zanim Polska niepodległość

odzyskała i z nim została ona ostatecznie uznana na zachodzie.

11 listopada 1918 r. zostaje sformowany rząd Moraczewskiego. Rząd radziecki zwraca się natychmiast o nawiązanie stosunków dyplomatycznych. Archiwa przechowują ciekawą korespondencję dyplomatyczną radziecko-polską owego okresu, wymowną swą jednostronnością. Rząd radziecki bombarduje ministerstwo spraw zagranicznych Polaki notami z propozycją nawiązania stosunków, alarmuje o repatriację dwu milionów Polaków z Rosji, ofiaruje zwrot przechowywanych w Rosji skarbowo kultury polskiej.

Przytoczymy dla ilustracji wyjątki z depechy, wysłanej 22 grudnia 1919 r.

„Rząd Radziecki zwraca się do Rządu Polskiego z formalną propozycją niezwłocznego rozpoczęcia pertraktacji z Polską, mających na celu zawarcie trwałego i na długi czas pokoju między obydwojoma krajami...”

Pokój między Polską a Rosją jest życiową koniecznością dla rozwoju obydwu krajów, dla ich dobrobytu i działalności gospodarczej...

Władomym nam jest, że istnieją pewne przeszkody, mogące stworzyć dla Rządu Polskiego trudności na drodze zgody z Rosją, tak jak podobne przeszkody utrudniają innym rządów sąsiednim kroczenie po tej drodze. Ale te trudności wynikają nie z interesów i skłonności narodu polskiego, a ze źródeł cudzoziemskich, rozbieżnych w tym wypadku z jego interesami”.

28 stycznia 1920 r. została ogłoszona za podpisem Lenina, ogromnej wagi dla stosunków radziecko-polskich, deklaracja Rady Komisarzy Ludowych RFSRR.

Punkt pierwszy deklaracji głosi: „Rada Komisarzy Ludowych oświadcza, że polityka RFSRR w stosunku do Polski, wychodząc nie z przypadkowych, chwilowych, wojennych, czy dyplomatycznych kombinacji, a z niezachwianej zasady samookreślenia narodowego, bezwarunkowo i bez żadnych zastrzeżeń, uznawała i uznaje niepodległość i suwerenność Rzeczypospolitej Polskiej i to uznanie od pierwszej chwili powstania Państwa Polskiego uważa za podstawę swych stosunków z Polską”.

Punkt czwarty głosi: „Rada Komisarzy Ludowych oświadcza, że o ile jest mowa o rzeczywistych interesach Polski i Rosji, nie istnieje ani jedno zagadnienie: terytorialne, gospodarcze czy inne, które nie mogłoby być rozstrzygnięte pokojowo na drodze pertraktacji, wzajemnych ustępstw i umów...”

Piłsudczyzna jest jednak nieczuła na wszystkie argumenty. I wówczas, w przededniu niemalże weszcia wyprawy kijowskiej, Wzzechrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy zwraca się 2 lutego 1920 r. wprost do narodu polskiego:

„Przez nasze propozycje pokojowe w stosunku do Rządu Polskiego dowiedliśmy czynami, że nie dążymy do podboju Polski, a do pokojowego z nią współżycia. Wiemy jednak, że stuletni ucisk narodowy ze strony rządu carskiego wzbudził w szerokich kręgach narodu polskiego głęboką nieufność do narodu rosyjskiego, nieufność utrudniającą w dużym stopniu sprawę pokoju i dobrych sąsiedzkich stosunków między wami i nami i wykorzystywaną dla swoich celów przez światową cielę...”

„Ale zbrodnie rosyjskiego caratu i rosyjskiej burżuazji przeciwko Polsce nie mogą być wstawione w rachunek nowemu Radzieckiemu Państwu Rosji. Rosyjscy robotnicy i chłopcy uznali niepodległość Polski nie w ostatniej chwili, nie jako chwilową kombinację polityczną, nie pod naciskiem okoliczności, rosyjscy robotnicy pospieszyli pierwsi uznać niezależność narodu polskiego, uznali ją bez zastrzeżeń i raz na zawsze i uczynili to, będąc świadomi, że niepodległość Polski odpowiada interesom nie tylko waszym, ale i naszym...”

„Ale wasi i nasi wrogowie oszukują was, gdy mówią, że rosyjski Rząd Radziecki chce wprowadzić komunizm na ziemi polskiej przy pomocy bagietów rosyjskich czerwonarmiejców...”

Rosyjscy komuniści dają obecnie do obrony tylko własnej ziemi, własnej twórczej pracy, nie dają, ani dążyć nie mogą do zaprowadzenia komunizmu przemocą w obcych krajach...”

Nie pomogły jednak wysiłki władzy radzieckiej. Nieuczestna wyprawa kijowska została rozbita. Wojna, załamane się pod Kijowem, ofensywa radziecka, bitwa pod Warszawą i pokój ryski — oto jej etapy.

Zatrute owoce tego siewu nienawiści, posiane przez polską reakcję, naród polski zbierał we wrześniu 1939 roku.

Takie są fakty.

WITOLD KULA

Uwagi o historii gospodarczej

1. MINIMALIZM

Co bada historia?

Cóż jest jej przedmiotem?

W ciągu kilkudziesięciu (tak!) wieków istnienia tej nauki zmieniały się sfera zainteresowań historyków w skali, nieznaną chyba innym dyscyplinom naukowym.

Z tradycyjnych podręczników metodologii historii zaszereżona odpowiedź, głosząca, iż przedmiotem historii jest człowiek, jego działania i ich wytwory w granicach czasu i przestrzeni — trudno, by nas zadowoliła. Nie do innej stanowi przecież przedmiot wiedzy o literaturze, teorii prawoznawstwa, ekonomii, socjologii, i innych wreszcie nauk. Przyjęcie tak szerokiego sformułowania prowadziłoby bezpośrednio do uśmierzania historii za jakąś pół-historię, ogólną, encyklopedyczną nauką o wszystkim. Było to nawet modne w epoce humanizmu, rozpowszechnione także u nas, gdy jezuiti wydawali swoje kompendia wszech nauk. Ale odbiegłszy już chyba od tych czasów dość daleko.

A więc spróbujmy zapytać inaczej: na jakie pytania odpowiada historia? jaki jest typ historycznego problemu? Pytania takich mamy dwa typy.

1. Pierwszy typ — to pytania w rodzaju: „Jakie stroje noszono we Florencji w XV w.?”

2. Drugi typ — to pytania takie, jak: „Jaki był wpływ polityki uprzemysłowienia na poziom dochodu społecznego w Królestwie Polskim w l. 1815—1830?”

Innymi słowy: jedne pytania kojarzą tylko jeden element rzeczowy a umiejscowieniem czasowo-przestrzennym (chronologiczno-geograficznym), gdy drugie kojarzą ze sobą dwa elementy rzeczowe, chronologicznie i geograficznie to skojarzenie umiejscawiając.

Rzecz jasna, że odpowiedzi na pytania pierwszego typu, tak lubiane między innymi humanistycznych polihistorów, a i teraz jeszcze w zupełności zaspakajające potrzeby poznawcze tak licznych historyków-amatorów, dziś raczej bytu mieć mogą jedynie jako szczebel, jako przygotowanie materiału faktycznego dla przyszłych odpowiedzi na pytania drugiego typu.

Porostają więc faktycznie tylko pytania drugiej kategorii, jako jedynie istotne. Jeśli się bliżej jednak tym przyjrzemy — spostrzeżemy, iż każde z nich rzeczowo przynależy do problematyki jakiejś innej dyscypliny wiedzy, a jedynie spojrzawszy na zawarty w dopełniaczu pytania element chronologiczny dochodzimy do wniosku, iż pytanie to stanowi problem historyczny.

A teraz: czy takie traktowanie sprawy jest rzeczowo uzasadnione?

Nie wydaje się nam. Na dobrą sprawę nie ma żadnej teoretycznej różnicy między pytaniami, dotyczącymi wpływu zniszczeń wojennych na zmianę struktury podziału dochodu społecznego, niezależnie od tego, czy pytamy o stan rzeczy w Niemczech po wojnie 30-letniej, czy o Polskę w r. 1945. Podział, który się faktycznie wytworzył i na mocy którego o odpowiedź na to pytanie w wypadku pierwszym pytaliśmy historycy, w drugim zaś ekonomista — oparty jest jedynie o to, że olbrzymie różnice w charakterze materiału, na jakim badacz tu i tam opierał musi swe rozumowanie, sprawa, iż idąc drogą najmniejszego oporu dochodzi się tu do specjalizacji. Specjalizacja ta jednak, teoretycznie nieuzasadniona, w praktyce przeprowadzona jest jedynie „na oko” — i jeśli to samo pytanie odnieśliśmy do Europy po 1918 r. — to już nie będzie jasne, kto ma na nie odpowiedzieć.

Jeśli natomiast spróbujemy oderwać się od tego śródprzypadku podziału — rzecz przedstawi się nam w całkiem odmiennym świetle.

Cała skala możliwych ludzkich działań i ich wytworów podzielona jest bez reszty, stanowczo przedmiot szeregu nauk specjalnych. W skład tego szeregu historia nie wchodzi.

Natomiast zadaniem historii jest dostarczenie olbrzymiego, przebiegającego, nie dającego się nigdy w całość objąć materiału faktycznego, który świadczy w nieokreślonej bazie dowodowej tamtych nauk specjalnych, wzmacniając tym samym nieokreśloną ilość razy wartość osiaganych przez nie wyników.

Sformułujmy więc minimalistyczną:

Nie ma historii!

Rozplynęła się nam ona w szeregu innych nauk humanistycznych (w szerokim rozumieniu tego słowa).

Na planie pozostała jedynie technika zbierania materiału o przeszłości, to, co Lelweł nazywał „naukami dającymi po znać źródła historyczne”: zniszczenie starego pisma (paleografia, epigrafika, papyrologia), starożytny miar przestrzeni, czasu, wartości (metrologia, chronologia, numizmatyka), techniki wykopalielowej i konserwatorskiej (archeologia klasyczna i prehistoryczna, muzealnictwo, konserwatorstwo i archiwistyka) i ślad szeregu innych.

Na tej niezaprzeczalnej możemy się do nowego sformułowania „historii” odnieść. Kwadratami, lubiącymi się w jedność i niepowtarzalności faktów historycznych, zadowolającymi się anegdota i literacka wi-

sja. Zbieraczom zostawiamy zbieractwo (wyniki jego niewiele jeszcze mają wspólnego z nauką) — a istotna praca naukowa, naukowe opracowywanie materiału z przeszłości, przeniesione byłoby do innych nauk humanistycznych.

Czy nasza teza minimalistyczna nie przypomina nam minimalistycznej tezy „Wienerkreisu”, który podobnie pragnął skończyć z używaniem słowa „filozofia”?

2. DOŚWIADCZENIE TYSIĄCLECI

Przeciwieństwem tego minimalizmu jest maksymalizm wymagający, stawianych innym naukom humanistycznym. Historia, dostarczając im materiału, wymaga, by go wykorzystywały. By twierdzenia ich, zamiast posiadać moc obowiązującą, ograniczoną do szczytów tam przeszerzenie czasowych, były rozbudowane w najróżniejsze warianty odnośnie różnych w przestrzeni i czasie konkretnych sytuacji społeczno-gospodarczych i w ten sposób z kolei stać się mogły podstawą uogólnień, tym razem naprawdę wszechstronnie uzasadnionych.

Dotyczy to: logiki, psychologii, językoznawstwa, wiedzy o literaturze, ekonomii, socjologii, prawoznawstwa (względnie szerzej: nauki o moralności) i innych.

Ma to olbrzymie znaczenie.

Bo zauważmy.

Wprawdzie wszystkie znane nam społeczeństwa we wszystkich kręgach kulturalnych miały w jakiejś, choćby prymitywnej formie swoją świadomość historyczną, zwiększając w każdym momencie doświadczenia życiowe aktualnie żyjących jednostek o istotne elementy doświadczeń pokoleń minionych — to jednak my, europejski krąg cywilizacyjny, jesteśmy pierwszym w dziejach kręgiem, mającym świadomość nie tylko swej własnej przeszłości, lecz także przeszłości innych kręgów cywilizacyjnych. Znamy przeszłość kręgów nam dalekich, osędo dawno już zamiatych. Znamy ją i rozumiemy lepiej, niż znały ją i rozumiały one same. Do pełnienia humanistycznej (to znaczy ludzkiej, to znaczy tym samym: społecznej) rzeczywistości, stajemy wyposażeni w doświadczenie tysiącleci, Bogactwo nieprzebran!

I choć powoli uczymy się z niego naprawdę czerpać — znajdując się wśród nas mistrze, którzy to potrafią. Pamiętamy tak niedawno jeszcze słysząc oświecające bliski Krzywinkiego czy Czarnowskiego!

Ale to było mistrzostwo, które trudno i niebezpiecznie naśladować.

Jako postulat roboczy staje przed nami konieczność specjalizacji — i w tym sensie niedawna wyodrębniona dyscyplina historii społeczno-gospodarczej staje się dostarczycielką nieprzebranego materiału, który wraz z materiałem współczesnym stworzyć może dopiero rzetelną podbudowę faktów pod rozumowanie i wnioski socjologii i ekonomii.

Samo powstanie historii społeczno-gospodarczej związane było z postępującym uprzemysłowieniem i narastaniem konfliktów społecznych, oraz z wywołanym tymi zjawiskami wysunięciem się zagadnień społecznych i gospodarczych na czoło aktualnej problematyki w połowie XIX wieku. Fakt rozwoju nauki ekonomii i powstanie socjologii spowodowały właśnie, że ekonomista i socjologowie z udziałem od historii dostarczenia im materiału, wzbogacającego bazę, na której mogli opierać swe rozumowanie i wnioski (tzw. szkoły historyczne). Wystąpienie Marksa, którego system stworzony został w wyniku rozumowania, przeprowadzonego na materiale historii społeczno-gospodarczej, wywołało aż do dziś trwającą, a nieustannie silnie emocjonalnie zabarwioną walkę poglądów, przy czym sposób w jaki Marks związał rozumowanie swoje z historią społeczno-gospodarczą zmuszał jego przeciwników (tak w lenie ówczesnego socjalizmu, jak i poza nim) do wchodzenia również na teren tej dyscypliny. Kto chciał zbliżyć twierdzenia Marksa musiał podejmować dowody, że np. nieuczestne jest prawo koncentracji. Stało się to olbrzymim impulsem dla badania dziejów społecznych i gospodarczych. Z tą chwilą ugruntował się samodzielny byt tej dyscypliny.

3. DZIEDZICZNE OBciążENIE

Genetyczny związek historii społeczno-gospodarczej z doktryną socjalistyczną z jednej, a z liberalno-mieszczańską ekonomią z drugiej strony miał dla niej i złe skutki. Po socjalizmie, kładącym jak wiadomo największy nacisk na badanie ustrojów społeczno-gospodarczych, nowonarodzona dyscyplina odziedziczyła pewien swoisty instyjnjonalizm.

Instyjnjonalizm ów wyrażał się nieproporcjonalnie zwiększonym zainteresowaniem formami życia społeczno-gospodarczego, przy pewnym lekceważeniu dla życia, toczącego się w ramach tych form. Przykładów tej tendencji można dać mnóstwo. Na zagadnienia handlu wewnętrznego interesują historyków tylko tak długo, jak długo znajdą się pod presją ogólnych instyjnacji. Tak pewna skłoda wzmagać dzierogę, prawo targów i jarmarków. Gdy instytute te obumierały — ważne to zagadnienia znikły zupełnie z pola zainteresowań fachowców. Również, gdy mowa

o zagadnieniach kredytu — dużo uwagi poświęca się instytucjom „banków pobożnych”, instytucjom, zwany „montes pietatis” i in., pozbawionym istotnego znaczenia gospodarczego, podczas gdy lekko przechodzi się do porządku nad zasadniczymi procesami międzyosobowych przesunięć w posiadaniu bazy kapitałowej, dokonywanych się na t. zw. kontraktach. Gdy już historycy zajmują się dziejami sprawy robotniczej — bardziej interesują ich problemy organizacji robotniczych, niż będące ich podłożem zagadnienie robotniczej stopy życiowej.

Po ekonomii liberalnej odziedziczyła historia społeczno-gospodarcza brak zainteresowania tak ożywiłkiem produkującym jak i konsumującym. Zagadnienia elementu robotniczego, selekcyj zawodowych, warunków pracy i wiele innych zblizonych, jak nie istniały w dawniejszych naukach społecznych — tak nie interesowały też dawniejszych historyków społeczno-gospodarczych. I tak jak w dawniejszej ekonomii nie istniało zagadnienie konsumpcji teorii — tak samo i w historii społeczno-gospodarczej nie było miejsca na badanie historii konsumpcji. Tak, jak przedsiębiorstwo każde, w działalności swojej kierowało się dążeniem do zwiększenia zysków, nie zaś do zwiększenia zbytu (a tym samym konsumpcji) i gdy to opłacało się, zmniejszało zbytu, a więc poświęcało konsumpcję, dla zwiększenia zysku (co najjaśniejszy wyraz znalazło w polityce monopolów i karteli) — tak samo i teoria ekonomii, a za nią i historia społeczno-gospodarcza, wzięły badania konsumpcji za stojące poza ich zainteresowaniami. I dopiero społeczne i gospodarcze wstąpiły zwróciły na to dziedzinę uwagę najpierw w życiu, później w socjologii i ekonomii, a wreszcie w uśmierzaniu od nich historii społeczno-gospodarczej.

Jako postulat więc reformy historii społeczno-gospodarczej wysuwamy się: 1) zerwanie z instyjnjonalizmem, zainteresowanie się raczej życiem, loczącym się w ramach tej czy innej instytucji, niż samymi ówymi ramami; 2) zainteresowanie się pracownikami (robotnikami czy chłopami) i tymi problemami, które dla niego były najistotniejsze; 3) badanie konsumpcji w szerokim znaczeniu tego słowa, czyli stopy życiowej, jako ostatecznego wyniku i celu społecznej działalności gospodarczej i jako sprawdzianu sprawności, z jaką społeczny aparat gospodarczy wypełnia zadania, stawiane mu przez społeczeństwo.

4. NIEZBEDNOŚĆ SYNTETY

Niedostojnym warunkiem osiągnięcia w pracy badawczej w każdym zakresie, a więc także w historii społeczno-gospodarczej powziętych wyników — jest posiadanie jasnej myśli syntetycznej. Z taką jasną koncepcją syntetyczną wystąpił w swoim czasie Marks. Chęć przedstawiania szczegół-koncepcji Marksa prowadziła nieraz do bardzo lastatycznych lamantów (materializmowi historycznemu przeciwstawiano „ekonomiczną interpretację dziejów”). Ale nie o to w tej chwili idzie.

Lepsze gorzej uzasadniona koncepcja syntetyczna — niż żadna.

Stan rzeczy w zakresie historii społeczno-gospodarczej w Polsce w ostatnim czterdziestolecu jaszkrawo tego dowodzi.

Zaraz po naszej wojnie, w r. 1918 i 1919 wysłupili w „Nauce Polskiej” prof. Bajak i prof. Rutkowski, że śmiało zarysowanymi planami pracy. I wprowadzili plany te do dyscypliny tylko zagadnień legmentarycznych (dotyczy źródlowe do dziejów społeczno-gospodarczych Polski nowożytny oraz kwestia pracowni posuniętych) — to jednak zrealizowanie ich dało by na pewno wiele. Tymczasem żaden z tych planów nie został nawet podjęty. Może przeszkadzał maksymalizm obu tych planów — lecz w takim razie można było przecież próbować ograniczyć ich zakres. Raczej jednak grał tu rolę typowy dla stosunków w życiu naukowym Polski w l. 1918—1929 brak idei kierowniczych, mogących być motorem pracy badawczej, oraz brak sugestywnych koncepcji syntetycznych, które umożliwiłyby wprowadzenie ładu w zawilozione problematiki dziejowej. Rezultatem tego było, iż badacze, zwłaszcza młodsi, najczęściej szli drogą najłatwiejszego oporu, obracając względnie publikując przypadkowo napotkane zespoli źródeł, nie mając jasnej świadomości tego, jakie to problemy mają być opracowane na publikowanym przez nich materiale źródłowym, ani też do jakich ujęć ilościowych służyć mają opracowywane przez nich przewidy. Postępowanie takie kusilo tym bardziej, że opracowywanie prac oderwanych od całości jako stosunkowo łatwiejsze, pozwalało szybko mnożyć pozwyje „dobreku naukowego”, ten zaś, ileścia stron zadrutowanych z języczkiej microny (o możliwości takiego kryterium — słuszne uwagi AFD w jego autobiografii w „Nauce Polskiej”), stawał się bazą kariery uniwersyteckiej i w ogóle był główną podława oceny pracownika naukowego. Reszt w ten sposób przyzwyczajono, czy, jak to ładnie nazywa prof. Rutkowski „milografia”. Cotożna biblio-

grafia historii społeczno-gospodarczej Polski wykazywała znaczną liczbę pozycji — do rzadkich jednak wyjątków należały prace, których autor zmierzał nie do opracowania jakiegoś zespołu źródeł, lecz do wyjaśnienia jakiegoś problemu teoretycznego. Najczęstszą drogą postępowania było napełnianie jakiegoś ciekawego materiału i opracowywanie go, z wyszukaniem występujących na jego tle problemów — nie zaś pierwotnie zainteresowanie problemem i wtórne poszukiwanie źródeł, mogących problem ten oświetlić. Istnienie wyjątków, do których należą przede wszystkim prace szkoły poznańskiej, nie może zmienić pesymistycznego obrazu całości.

W rezultacie, mimo kilkunastu lat intensywniej produkcyjnej nauki w naszym zakresie, niewiele pogłębiłmy nasze możliwości naukowe. Syntezy społeczno-gospodarczych dziejów Polski od czasu wydanego w r. 1923 „Zarysu” podręcznikowego prof. Rutkowskiego.

W tym właśnie „Zarysie” wystąpił prof. Rutkowski ze swoją koncepcją syntezy historii społeczno-gospodarczej. W licznych późniejszych swych pracach koncepcję tę uzasadniał, wszechstronnie rozstrzygał i na najrozmaitszym materiale słowami. Istotą tej koncepcji jest stwierdzenie, że droga do syntezy historii społeczno-gospodarczej jest badanie zagadnień podziału dochodu społecznego. Dowodzi tego Rutkowski w ten sposób, iż wykazuje, jak dla istotnego poznania struktury podziału dochodu społecznego w danym miejscu i czasie konieczne jest uprzednie poznanie wszystkich zagadnień, dotąd tradycyjnie do historii społeczno-gospodarczej zaliczanych.

Przeciwko tezie prof. Rutkowskiego wysunął szereg, najczęściej zupełnie niesłusznych zarzutów. O poziomie łączonej dyskusji najlepiej świadczy fakt, że np. jeden z blagocych w niej udział, profesor ekonomii na jednej z polskich wyższych uczelni, stwierdził, iż synteza prof. Rutkowskiego nie obejmuje całej problematyki historii społeczno-gospodarczej, gdyż poza nią posiadają zagadnienia skarbów publicznych. Bo o tym, że progresja lub regresja podatkowa, premie eksportowe, zwolnienia podatkowe, finansowanie przez państwo takich czy innych inwestycji, a wreszcie nawet zwiększanie czy zmniejszanie emisji pieniądza, to cały arsenał potężnych środków w zakresie skarbów, za pomocą których państwo wprowadza korektury w strukturę podziału dochodu społecznego — szanowny profesor nigdy nie słyszał.

Chcemy być dobrze zrozumiani. Ani teza prof. Rutkowskiego, ani metoda, którą tezy swej dowodził, nie odpowiada nam. Przy takim niesprecyzowaniu, jakim w logice formalnej „ciesz się” pojęcia syntezy — trudno tu stawiać jakiegokolwiek formalne samej metodzie. Jednak przy samym wzajemnym powiązaniu, jakie występuje między wszystkimi elementami życia społeczno-gospodarczego dowód taki, jak przeprowadzony przez prof. Rutkowskiego można by powołać na przeszkodę i odnośnie różnych innych zagadnień.

Podzielibyśmy się np. przeprowadzić dowód, że do istotnego poznania form, kierunków, rozmiarów i struktur handlu zagranicznego trzeba poznać wszystkie elementy, tradycyjnie zaliczane do historii społeczno-gospodarczej. A czy dowodzi to, że zagadnienie handlu zagranicznego jest kluczem do syntezy interesującej nas dyscypliny wiedzy? Bynajmniej. Teza prof. Rutkowskiego nie jesteśmy przekonani.

Ale z drugiej strony właśnie prace prof. Rutkowskiego i jego niezbyt licznych uczniów dowodzą, jak poważne rezultaty osiągnąć można, gdy praca kierowana jest jasną koncepcją syntetyczną, gdy pojęta jest jako całość, do większej budowlę, gdy wyraźnie wiadomo, do czego dąży i po co jest opracowana.

Trzeba wiedzieć dlaczego i po co się prawnie.

Koncepcja syntezy jest niezbędna.

5. SPECYFICZNOŚĆ CHWILI OBECNEJ

Konieczność nowego stawiania problemów, nowego oświetlenia starych zagadnień, sięgnięcia do źródeł niesłyszanych — wszystkie te zjawiska występują na terenie historii społeczno-gospodarczej jeżeli nie silnie, to w każdym razie nie słabiej, niż w innych dziedzinach historii Polski. I nie dziwnego. Rodząca się Polska demokratyczna o nowej strukturze społecznej, inaczej niż poprzednia będzie patrzyła na swoją społeczną przeszłość. Nowe problemy ją zaciękwiają, a stare w innym zobaczy światło. Nowa struktura gospodarcza kraju wskazuje i w przeszłości nowe, niedostrzegane dotąd elementy gospodarstwa narodowego. Jeśli pamiętamy o związku nauki z życiem — nie będziemy mieli wątpliwości, że w bieżącej chwili dzisiejszej Polski również historia społeczno-gospodarcza i właśnie ona, przeżyć musi swój przelom.

Historia społeczno-gospodarcza sama, z natury rzeczy, ma już do pewnego stopnia charakter demokratyczny. Tak, jak kiedyś historia dostarczała panującym danym o przeszłości ich dynastii (ad usum delphini), jak później dostarczała danych genealogicznych przedstawicielom warstw uprzywilejowanych — tak wreszcie, wraz z narodzinami historii społeczno-gospodarczej, bohaterami wielkiej opowieści o czasach minionych stały się i klasy dotąd upośledzone. Najpierw były one obiektami biernymi. Działalnością swoją wzbudziły niepokojenie klas uprzywilejowanych —

wzbudziły jednocześnie i zainteresowanie ich sobą, a tym samym i swoją przeszłością. Ślad zajęcia się burżuazyjnej historiografii dziejami organizacji robotniczych i chłopskich oraz dziejami ruchów społecznych. Z czasem przedstawiciele klas dotąd upośledzonych dochodzą na terenie dziejopisarstwa do głosu czynnego i wraz z tym, obok zainteresowania dziejami tych klas w chwilach wyjątkowych (rewolucje, bunt) — rodzi się zainteresowanie ich przeszłością od strony warunków życia i pracy, blasków i, o ileś liczniejszych! nędz dnia powszedniego.

Właśnie teraz, przystępując w oparciu o reformę ustroju społeczno-gospodarczego i związaną z nią reformą systemu szkolnego do kształcenia nowego typu pracownika państwowego — mamy prawo wierzyć, że niedługo stanie do pracy badawczej nowy typ historyka, człowieka, związanego spo-

ROZMAITOŚCI

Na szpaltach czasopism literackich znów zaczęła kursować tajemnicza i nieuchwytna moneta obiegowa. W „Tygodniku Powszechnym” Jerzy Zagórski pisze: „Poezja nie musi ocierać się o metafizykę. Gdy jej jednak zaprzecza programowo, skazuje się na pewne zubożenie doznań...” W „Życiu Literackim” Wojciech Bąk twierdzi, że człowiek pod warstwą „psychiczną racjonalistyczną — konwencjonalną” mieści w sobie „innego” człowieka i dopiero w tej drugiej warstwie kryją się źródła liryzmu. „Ten inny może być potrzebny, by być bynajmniej pojęty metafizycznie; wszyscy go znamy z doświadczenia wewnętrznych”. Dla Zagórskiego i Bąka, jako fideistów, wiara religijna jest ostateczną instancją, ale szanując ewentualny brak tej wiary u innych, czynią gest uprzejmości tak dalece ustępliwy, że proponują tylko metafizykę, co więcej, są gotowi rozłożyć ją na raty i nawet nie nazwywać jej po imieniu.

To ustępstwo ma być miłą najskromniejszych wymagań, podobnie, jak z drugiej strony, w obzbie materialistów, nie wymaga się od innych, aby myśleli dialektycznie, ale proponuje się program minimalny: trzeźwość, empiryzm, racjonalizm. W tym wypadku propozycje są jasne i, mówiąc otwarcie, zawierają ogromne ustępstwa. Ci co opowiedzieli się za ideologią marksistowską, proponują innym, aby przynajmniej myśleli tak trzeźwo, jak niegdyś burżuazja w okresie, kiedy odgrywała rolę postępową w walce z teodalami. Ale esteci religijni, idąc na ustępstwa i nie wymagając od innych apelacji do Boga, puszczają w obieg monetę, która ma właściwości diabelskiego inkluza: znika i natychmiast odnajduje się spowrotem za pazuchą darczyńcy.

Nie idzie oczywiście o jedno mgliste słowo, ploszące ludzi naiwnych i małozębnych. Za tym słowem stoi wieloletnia sugestia. Przez kilka generacji powtarzano się jednym tchem: głębości, metafizyczność. Materialiści także znają egzorcyzmy i będą jedynym tchem powtarzali: płytki, metafizyczny. Zobaczymy komu się wcześniej znudzi, diabłu czy materialistom.

Pochodzenie metafizyki jest bardzo banalne. Po prostu dzieła Arystotelesa, które znalazły się w katalogu za filzyką, nazwano poza — czyli metafizycznymi. Ale są w kulturze ludzkiej słowa, które robią mętną karierę. Metafizyka stała się rywalką wiedzy ściślej w teorii poznania, albo raczej wieczną kandydatką na rywalkę. Pisywano do metafizyki prolegomena i wstępny. Pisywali je ci, co usilowali odmówić umysłowi ludzkiemu zdolności do poznawania prawdy. Samej przecież metafizyki ani Kant ani Bergson nie ośmielili się napisać. Byli w ubiegłym stuleciu pomniejsi filozofowie niemleccy, którzy przy pomocy liter A, B, C i innych znaków próbowali wymyśleć metafizykę jako część ontologii, czyli nauki o byciu, ale ten trud niewdzięczny rychło poszedł w zapomnienie.

Jedyną metafizykę stworzył chyba znakomity angielski astrofizyk Eddington, uchodzący wśród czytelników, popularnych książek naukowych za równie znakomitego teoretyka filzyki. Eddington był fideistą, jego Bóg miał naturę matematyczną. Zbudował (nie Bóg, lecz Eddington) strukturę świata, określając w każdym punkcie przestrzennie — czasowym dwudziestoma liczbami, które miały tylko tę wadę, niepojętą przez laików, że nie można było wyprowadzić z nich podstawowych wielkości fizycznych. Ale że metafizyka nigdy nie cieszyła się szacunkiem w świecie naukowym, więc nie nadął swojej teorii najsłabszej nazwy, natomiast pod gmerkiem naukowym rozpowszechnił ją w książkach popularnych.

Nie za taką jednak metafizyką uganiali od niepamiętnych lat esteci, bo jeszcze w czasach młodopolskich i chimerycznych. Szukali jej nie w liczbach, ale w mrokach duszy, i była podobna do bladej lilji, do

tecznie i ideowo z klasami i ruchami, przez dotychczasową historiografię jeżeli nie szkalowanymi, to w najlepszym razie przemilczanymi. W swym uzasadnionym dążeniu do poznania dziejów swych przodków społecznych i ideowych będzie on chciał źródła już znane zbadać raz jeszcze, a pomijane dotąd wydobyć na światło dzienne. A tymczasem...

Wojna 1939—1945 r. pociągnęła za sobą katastrofę archiwów centralnych. Pozostały z nich znikome resztki.

Temat, który dotknąłmy tutaj, wymaga oddzielnego rozpatrzenia. Tu odpowiedź może być zaledwie naszkicowana.

Granitowe wykorzystanie zbiorów ocalałych, nacisk na archiwa prowincjonalne i prywatne, a przede wszystkim głębszy niż to nieraz u „nowożytników” bywało stosunek do źródła, wydobyte z niego naprawdę wszystkiego, co da się wydobyć

— to drogi, prowadzące do tego celu. Ułatwić kroczenie tymi drogami musi racjonalnie rozplanowana polityka edycji źródełowych.

Dzieło rewizji dotychczasowej historiografii musi być wykonane — konieczne staje się staranie, by dokonano się ono na jak najszerszej podstawie źródłowej, na możliwie jak najwyższym poziomie naukowym.

Na tej drodze, poprzez badanie dziejów społeczno-gospodarczych, osiągniemy i rewizję naszej historii politycznej, zrewidujemy całość obrazu naszej przeszłości.

Nowa Polska będzie wiedy mogła zobaczyć, poznać, zrozumieć przeszłość — nie w obramach legendy szlacheckiej.

Możemy być pewni, że będzie umiała z niej również odpowiednie nauki wyciągnąć.

Rozkosze metafizyki

zawołowanej dany w jesiennym parku, do fiakonu z eterem w gabinecie dentysty, albo do buteleczki z jodyną, trupią główką i piszczałkami. W pierwszych latach po tamtej wojnie, pod silnym prądem otrzeźwienia, wzmianka o metafizyce wywoływała, przynajmniej w tej części ówczesnej generacji, z której wyszli nowatorzy, protesty i kpiny, kąśliwe dowcipy i śmiech. Był to czas kiedy metafizyka miała spasioną gębę filistra, ale nawyki młodopolskie szybko wzięły górę i znów wymuskała metafizyka wróciła do cercle-ów literackich, zasiadała na bankietach i w jury. Kiedy jednemu z poetów dawano nagrodę za wiersze religijne, inny poeta motylował to dyskretnie tym, że te wiersze są metafizyczne. Ostatecznie w gwarze literackiej metafizyka zawsze była

POLITYKA

1921 czy 1945

Konstytucyjne życie Rzeczypospolitej oparte zostało przez Krajową Radę Narodową na zasadach konstytucji 1921 r. Oparte — w świadomym przeciwstawieniu do carowo - raczkiewiczowskiej konstytucji 1935 r. w świadomym przeciwstawieniu do tych wszystkich, importowanych z Berlina i faszystowskiego Rzymu pomysłów konstytucyjnych, jakimi raczyła nas sanacja i jej oenerowe przybudówki w ostatnich latach przedwojennych.

Nasza reakcja rozpaczkliwie przeciwstawiła się temu stanowisku obozu demokratycznego. Nasza reakcja wołowała w obronę „konstytucji kwietniowej” wszystkimi możliwymi metodami — od kuli skrytobójcy poczynając, a na następnych zapewnieniach o jej „tymczasowości”, o zasadzie „ciągłości prawnej” kończąc. Ale dziś, kiedy to bitwa została przegrana, kiedy zarówno cały nasz naród, jak i mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej uznały słuszność stanowiska Krajowej Rady Narodowej, stanowiska obozu demokracji polskiej — jesteśmy świadkami nowego manewru, świadkami zmiany frontu.

Oczywiście, p. Raczkiewicz dalej broni zasad konstytucji, które zawdzięcza swą „prezycencką” wspaniałość. Oczywiście, p. Arciszewski nadal zapewnia socjalistów europejskich, że mieszanina hitlerowskich i włosko - faszystowskich pomysłów, na poczekaniu, „na patatajkę” spreparowana przez p. Czarę stanowi wykwit nowoczesnej myśli socjalistycznej. Ale ich adherenci w kraju zaczynają już śpiewać na inną melodię.

Reakcyjne elementy w kraju zaczynają teraz występować w nowej roli: „obrońców” (uczciwyszy uszy) konstytucji marcowej.

Jako — padają zarzuty ze strony wcześniejszych najgorętszych „londyńczyków” — czy konstytucja marcowa przewidywała natychmiastowe przeprowadzenie reformy rolnej? Gdzie w jej paragrafach można znaleźć motywację dla państwowego zarządu nad wielkim przemysłem? Albo sądy ludowe — konia z rządem temu, kto znajduje je w konstytucji marcowej!

Sprecyzujmy nasze poglądy. Niewątpliwie — wszystkich tych, naszym zdaniem całkowicie słusznych i bardzo dobrych rzeczy, doprawdy nie ma w konstytucji marcowej. Nie ma — i nie mogło być ich w owym czasie. Bo konstytucja marcowa uchwalana była w r. 1921, w zupełnie innej sytuacji aniżeli dzisiaj.

Konstytucja marcowa nie była konstytucją faszystowską (t. zn. nie była taką, jak konstytucja kwietniowa). Dlatego obóz demokracji polskiej przyjął ją, mógł ją przyjąć za podstawę prawną swego działania. Ale była ona konstytucją demokracji bardzo umiarkowanej, demokracji klas panujących w Polsce 1921 r., konstytucją bardzo daleką od pełnego ludowładztwa.

Nie sposób konstytucję oddzielać od jej zastosowania. Treść przepisów konstytucji ujawnia się dopiero w toku jej interpre-

ucucłową apelacją do wieczności z zatajeniem Boga, zakonnicą w wizytowej sukni. W pojęciu potocznym Francuzi używają słowa „metaphysique” jako konwencjonalnego określenia spraw, które my również konwencjonalnie nazywamy „duchowymi”. Ale to samo słowo przestaje być niewinne i obojętne, kiedy określa się nim sposób myślenia. Wtedy na jednej szóstaj części świata ma ono sens jednoznaczny i wywołuje politowanie. Nie tylko tam, ale wszędzie, gdzie ludzie starają się opanować dialektykę myślenia, posądzenie o metafizykę jest po prostu obelgą. Niechaj więc fideiści nie obrażają ich świadomości, a wiedy nawzajem ci ludzie będą szanowali ich uczucia religijne.

ADAM WAŻYK.

tacji, w życiu. A ta interpretacja — to było pogrzebanie reformy rolnej, to były procesy przeciwko Lewicy Rolniczej, to był Kraków 1923 r., to była tolerancja i pobłażanie dla realcyjnych spiskowców, to było umocnienie panowania wielkiego kapitału i obszarnictwa w Polsce. Bez okresu 1921 — 1926, okresu ważności konstytucji 1921 nie do pomyslenia byłoby zamach stanu maja 1926 r., nie do pomyslenia byłaby dalsza faszyzacja Polski.

I oto — to właśnie mają na celu nowo - upieczeni „obrońcy” konstytucji marcowej. Chcą oni wracać wstecz, bo chcą rozpocząć de capo cały rozwój wypadków — od paktu lanczkorońskiego, poprzez krakowski listopad do Nieświeża i Berezę Kartuskiej. I dlatego chwytają się poszczególnych postanowień konstytucji marcowej, dlatego czynią swym hasłem naczelnym „powrót do stanu z kwietnia 1926 r.”.

Inne jest stanowisko nasze, stanowisko demokracji polskiej. My — przemysleliśmy dzieje konstytucji marcowej, przemysleliśmy przyczyny jej upadku. Dla nas konstytucja marcowa jest podstawą dla dalszego pochodu naprzód — nie wstecz. My nie chcemy, aby, prędzej czy później, za pięć lat, czy za pięć miesięcy, demokracja polska padła znowu ofiarą najemnych janczarów obszarnictwa i wielkiego kapitału, inspirowanych z pewnego poselstwa na Nowym Świecie. My chcemy zabezpieczyć trwałość panowania demokracji w Polsce. Dlatego — nie zachycamy się stanem z kwietnia 1926 r., a przeciwnie, walczymy o to, aby nie powrócił już nigdy.

Dlatego unieszkodliwiliśmy ośrodki, z których może iść niebezpieczeństwo faszystowskiej restauracji: przeprowadziliśmy reformę rolną, przejęliśmy pod zarządem państwowym wielkie banki i wielki przemysł. Dlatego dbamy o to, aby ludowy, robotniczo - chłopski element zapelniał kadry naszego aparatu państwowego, zabezpieczył je od szkodliwej roboty reakcyjnych niedobitków. Dlatego walczymy o to, aby nasza demokracja była nową, ludową demokracją a nie demokracją mieszczańską, demokracją liberalną.

Rozumiemy, że może się to nie podobać tym, którzy w tamtej demokracji, przed majem 1926 r. bezkarnie lupili skórę z całego narodu i spiskowali przeciwko jego wolności. Rozumiemy, że chcą oni walczyć przeciwko naszym reformom. Ale niech walczą z odkrytą przyłbicą — o przywrócenie ziemi obszarnikom, o powrót panowania karteli, o wolność spiskowania dla faszystowskich zamachowców. Niech nie chowają się za paragrafami marcowej konstytucji. Niech nie myślą, że można wrócić do dyrektorskich gabinetów i magnackich pałacyków prostym, krótkim spacerkiem powrotnym... przez Trzeci Most.

Trzeci Most leży w gruzach. Mamy dziś rok 1945, nie 1921.

ERKAUW.

ARTUR SANDAUER

Metafizyka i sprawy powszednie

Dyskusje rozgorzały na dobre. Co w nich jednak uderza, to ich ton dogmatyczny. Każda ze stron wysuwa wnioski z tej już zgóry uznanych za prawdziwe, lecz nie podzielanych przez przeciwnika. To też, nie będąc zasadniczą, dyskusja nie może być odkrywcza. Czyżby naprawdę nie było miejsca dla nowych myśli w Polsce?

Nie mogłem się oprzeć tym uwagom, czytając ciekawy artykuł p. Edwarda Jastrzęba „W sprawie realizmu” (Życie Literackie Nr. 7 — 8), polemizujący z „Drogowskazami” Kazimierza Brandyśa (Odrodzenie Nr. 31), których zresztą nie jestem zwolennikiem. P. Jastrzęb wysuwa, równie dogmatycznie, jak jego antagonist, szereg tez literackich, moralnych, politycznych, nie udowodnionych i nie popartych przykładami. Rozum — jak sama nazwa wskazuje — stwarza możliwości porozumienia. Obawiam się, że niesprowadzalność pewnych założeń wywodzi się najczęściej z uczuciowych lub interesownych pobudek. Otóż — badajmy:

P. Jastrzęb zaczyna — duchowym obyczajem — od moralności. Na czym ją oprzeć? Na prawach dobra zbiorowego, jak proponuje marksizm? Jest to norma chwytliwa i nieśmiała. Czyż etyka może chwycić się zależności od wahań polityki? I czyż Hitler nie powoływał się w końcu również na dobro zbiorowe — narodu niemieckiego? Absolutne zasady moralne może — twierdzi p. Jastrzęb — dać jedynie religia.

Umiejętna lektura podręcznika historii puczy p. Jastrzęba, że i owe, pozornie absolutne, normy były każdorazowym wytworem pewnej zbiorowości i służyły jej interesom. Pojęcie honoru np., nieznanne w starożytności, powstało jak stwierdził już Monteskiusz — w ustroju feudalnym jako rękojmią wierności wasala dla suwerena. Wszelka nadbudowa psychiczna, moralność, religia, literatura wynika z każdorazowego układu historycznego.

W świecie rzeczywistym nie znajdziemy wartości niezmiennych. Są natomiast takie, które do tego miana pretendują, jak owa — proponowana przez p. Jastrzęba — absolutna etyka religijna. Wiemy jednak, że zjawienie duszy delikwenta było dla inkwizytora przede wszystkim pretekstem dla konfiskaty jego majątku. Wszystkie normy etyczne są relatywne, zależnie od czasu i przestrzeni; relatywizm można jednak przezwyciężyć — przez uświadomienie. Wszystko się zmienia — prócz zasady zmienności. Dobrem więc jest to, co tej zmianie sprzyja. Innymi słowy — marksizm przezwycięża relatywizm etyki przez idee postępu. Oświadczając się po stronie klasy robotniczej, uważał zarazem, że interesy jej są — w ostatecznym rachunku identyczne z interesami całej ludzkości. Absolutnie dobrem jest to, co sprzyja rozwojowi.

P. Jastrzęb od moralności przechodzi do literatury. Gdy tam jednak był zwolennikiem ujednostajnienia, tu — rzecz dziwna — głosi jak najdalej idące zróżnicowanie. „Sztuka — twierdzi — zawsze jest i była równoznaczna z chęcią utrwalenia tego, co w obrębie danego gatunku okazało się niepowtarzalne”. „To, czym się od siebie różnimy, stanowi przedmiot poznania i dociekliwości wielkich realistów”. „Świat bowiem składa się właściwie z zdumiewających wyjątków”.

Ponieważ jestem, niestety, zatwardziałym realistą, skłonny byłbym odstąpić p. Jastrzębowi parę owych „zdumiewających wyjątków”, które według niego tak wyjątkowo nadają się dla sztuki, a mianowicie: w Annamie urodzili się bliźnięta sjamskie, w Psiej Wólce krowa wydała na świat dwugłowe cielę, a w Pływici zerwana wiatrem dachówka, spadając z trzeciego piętra, uderzyła miejscowego golbrodę, nie wyrządziwszy mu jednak najmniejszej szkody. I jeśli p. Jastrzęb czytał klasyków, to nie może nie wiedzieć, że mieli oni zgrabną skłonność do tak zwanej typizacji. Ba! I romantycy nasi, których p. Jastrzęb szczególnie adoruje, poruszali przede wszystkim sprawy powszednie i bohaterowie ich, nawet wyjątkowi, są symbolem i upostaciowaniem uczuć ogólnych. Oczywiście, typizacja w dziele sztuki nie odbywa się świadomie; twórca nie wychodzi z gotowych już schematów, lecz tworzy nowe. Odkrywa on, niestwierdzone jeszcze, podobieństwa między ludźmi.

Bylibyśmy skłonni przypuszczać na podstawie dotychczasowych wywodów p. Jastrzęba, że jest on przeciwnikiem realizmu. Broń Boże! Jest jego gorącym zwolennikiem! Ale pod pewnym warunkiem: że pisarz — realista spełni następujące zadania: „Pokaże, jak z chwilą upaństwowienia własności prywatnej miejsce warstwy

plutokratycznej ziemiańskiej zajmuje nowa elita partyjno — urzędnicza; ujawni antagonizmy, wynikające na tym tle w łonie hierarchii biurokratycznej; odtworzy nieprzewidziane zjawisko narastania nowych klas w związku z wieczną zasadą selekcji i eliminacji; zobaczy, że kapitalizm prywatny przekształca się w kapitalizm państwowy; zawczasu ostrzeże masy przed grozą nowej państwowej, usankcjonowanej w trybie administracyjnym” i t.d. i t.d. Owszem, realizm jest potrzebny — przyznaje chętnie p. Jastrzęb — byleby pokazał, że w gruncie rzeczy nie było pogoć reformy rolnej i że żyjemy obecnie w straszliwej pańszczyźnie administracyjnej. Góra absolutu — porodziła mysz o bardzo określonym kolorze.

Po załatwieniu konkretnych interesów, p. Jastrzęb kończy powrotnym wzlotem w ulubioną krainę metafizyki. P. Jastrzęb poczynił wiele doświadczeń tego rodzaju w ciągu wojny. Stwierdził, że „rzeczywistość metafizyczna zwiększyła swoje ciśnienie i cała egzystencja była jakby alu-

zją do nieśmiertelności”. To też „sztuka, pozbawiona pierwiastka metafizycznego, szybko utraciłaby jedynie płodny związek ze sferą życiowych tajemnic”. A zatem precz z realizmem (jeśli, oczywiście, nie przedstawia olbrzymich szkód, wynikających z usunięcia warstwy plutokratycznej ziemiańskiej). Nie wiem, jakie kontakty z nieśmiertelnością miał p. Jastrzęb podczas okupacji. Doświadczenia mogą być różne. Ja widziałem ludzi, prowadzonych na śmierć, skopanych, oplutych, wyciągających na próżno ręce do nieba. Widziałem wierzących, drżących przed śmiercią, która dla nich przecie była wyzwoleniem... Oczywiście, wiara w świat pozagrobowy mogła dla wielu być podporą w ostatnich chwilach. Ale mogła nią być również wiara w godność człowieka, jak u owego spalonego w 1630 roku ateisty, Vanino Vanini, który — gdy na okrzyk bólu „Boże!” jakiś mnich zauważył z ironią, że jednak wierzy w Boga, którego istnienia wczoraj przeczył — odpowiedział z dumą: „To tylko sposób wyrażania się”. I skonał.

X Wiosna 1944*

Z artykułu Zofii Naikowskiej w numerze 4-5 „Kuznicy” wynikało jasno, że lewica społeczna nie wymaga od pisarzy ani podporządkowania się dziś jeszcze dość niesprecyzowanym normom stylu realistycznego, ani rezygnowania z wysokiego kunsztu technicznego dla celów laniej dostępności. Tego właśnie lewica społeczna nie wymaga. Tym niemniej stawia ona określone postulaty pisarzowi. Pierwsze to opowiedzenie się za ideologią postępu, pisarz winien być wyznawcą tej ideologii i dawać jej świadectwo. To pociągnie za

przez co akcja wzbiera i rośnie nie etapami dramatycznych śpiew — lecz gierkami i machinacjami często o małym ładunku emocjonalnym. Naikowska powiedziała, że to obojętne, iż mało się dzieje na scenie, bo wiele dokonywa się poza nią. To prawda. Lecz atmosfera tej pozascenicznej gry winna przenikać, oświetlać szeptem szlabu politycznego groźną chmurą. A tak dzieje się rzadko. Na tym wady utworu się nie kończą, ale zalety przeważają niewątpliwie. Taką zaletą o doniosłości na przyszłość jest próba przezwyciężenia przez Bieńkowską tego, co nazwałbym tradycyjnym realizmem. Postacie sztuki mogą wydać się czytelnikowi nieco sztuczne. Jest to mylne wrażenie. Jest to rezultat śmiałości i właściwej inowacji. Realizm tradycyjny sięgał do aż nadto prywatnego życia. Pokazywał swoich Dulskich i Polanieckich mimo wszystko bardzo izolowanych od środowiska, odwarzał psychologiczny mechanizm ich życia i działania. Lecz jest i drugi realizm, który ukazał choćby Majakowski w swej poezji publicystycznej. Pokazanie tego przekroju spraw ludzkich, który odslania mechanizmy rządzone już nie prawami psychologicznymi, lecz socjologicznymi. U Bieńkowskiej np. cały stosunek młodego dziedzica do żony nie jest sprawą jego temperamentu czy struktury duchowej. Całe jego zachowanie w tym wypadku to tylko żywa realizacja politycznych hasel faszyzmu wobec kobiety, realizacja hasel wskazujących jej miejsce w życiu zbiorowym. Tę linię innego realizmu — nie zawsze co prawda konsekwentnie — przeprowadza Bieńkowska w całym dramacie i wobec wszystkich postaci. Prowadzi to do koniecznych uproszczeń. Nie rażą one. Nie myślę, że trzeba by ich unikać przez eklektyczne ożywianie figur elementami obcymi. Jak słusznie kiedyś uzasadniała Maria Fiedler, teatr musi upraszczać i to bardzo — przemawia bowiem nie do pojedynczego czytelnika — ale do swoistej zamkniętej grupy: do widzów. Widzowie nie reagują każdy z osobna, a właśnie jako grupa. To wymaga dostosowania się do pewnej przeciętnej wrażliwości, wymaga uproszczenia. Dlatego też inowacja Bieńkowskiej w teatrze — tak jak i w publicystyce Majakowskiego — jest szczęśliwa. Wzbogacić ją można natomiast przez zagęszczenie problematyki intelektualnej, politycznej, czego w dramacie brak. Jeśli postacie sztuki na ogół są rysowane niewprawną jeszcze ręką, jedna postać zostaje trwale w pamięci. To postać centralna, osoba sedzjąca Łączyckiego. Ten człowiek żyje. Gotowimy powiedzieć, w którym stronnictwie dzisiaj rej wodzi. Chociaż tacy panowie dalecy są od przedowania, raczej kierują. Pewną ręką. Każdy ich zna.

Nasuwają się jeszcze zastrzeżenia formalne. Język postaci za mało zróżnicowany. Gorzej, intymne rozmowy kochanków czasem brzmią zdaniem z artykułów. Pod tym względem nie zawodzi tylko zleka stylizowany, stary sługa Sylwester. A już Zeromski w „Przełomach” pokazał jak można mówić dołna gwara inteligenta, oddzienna, a jednak nie wykładowa. W ogólnym bilansie są to sprawy drobne. Pisarka musi walczyć o wiele rzeczy — ale śmiało zdobywcze książki utrwalają jej pozycję. Trzeba nam pamiętać, że w chwili obecnej bardziej nam chodzi o nowy typ literatury, niż o dalszy krok przód w rozwoju technicznym — po starej drodze i jak mi się wydaje, Bieńkowska tomie drugo tej nowej koncepcji literackiej. Dramat bezwzględnie wart czytania i literackiego namysłu.

Stefan Żółkiewski.

* Flora Bieńkowska „Wiosna 1944” sztuka w 3-ach aktach. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka” 1945. Str. 80.

Przegląd prasy

Bomba atomowa stała się dla pewnych kół politycznych nie tylko terminem oznaczającym straszliwą broń. Pojęcie bomby atomowej rozszerzyło się znacznie i bomba atomowa zastępuje w umysłach ludzi nieogodzonych z demokracją, powojenną rzeczywistością wytrącony im z rak oręż dla walki z postęmem. Jerzy Borejsza w świetnym artykule „Ostrożnie z bombą atomową” („Odrodzenie” Nr 46) demaskuje istotę rzeczy: „...tak często cytowana w prasie reakcja polska żadnego programu ani ideologii nie ma; chyba realnym programem nie można nazwać propozycji oddania Polski w arendę dla odbudowy kilku trustom zagranicznym, repatriacji całego kapitału i odszkodowania dla poszkodowanych ziemian”. Borejsza stwierdza, że „Wszelkie gwałtowne rewolucje wyrzucały poza granice kraju emigrację niezadowoloną, wydziedziczoną wskutek rozwoju wypadków. Łagodna rewolucja w Polsce stworzyła emigrację wewnątrzną. Ta oto wewnętrzna emigracja stwarza szumne wrażenie jakoby w Polsce istniał ideologiczny obóz wsteczniczy”. Nowy termin, użyty przez Borejszę najlepiej zapewne charakteryzuje społeczne i polityczne oblicza grupki przeciwników demokracji, sięgających po „bombę atomową”, jak po mił, bez którego prymnie ich wiara w możliwość zmiany, i tak malejąca z każdym dniem. Tym ludziom „pozostało nerwowe, historyczne oczekiwanie cudu. Wunderwaffe „polskiej bomby atomowej”. W dalszym ciągu Borejsza wylicza skonstruowane przez naszych „katastrofistów” bomby atomowe, wśród nich „miał być przyjazd do Polski tak spokojnego i kulturalnego polityka jak Stanisław Mikolajczyk”. Borejsza stwierdza, że „chłuby, jakie wzięli z tym „awanturzysty spod znaku szabru, noża i rewolwera” zawiodył katkowiec. W dalszym ciągu tego znakomitego i spokojnego artykułu, Borejsza wytyka prof. Kotowi jego błędne mniemanie, jakoby „osoba jednego z naszych polityków” była „bombą atomową w Poczdamie, która zdecydowała o polskich granicach zachodnich...”. Borejsza dowodzi, że niesposób wiązać spraw granic z taką czy inną osobą i że „o granicy zachodniej zdecydowała, rzecz jasna, wytrwała i konsekwentna polityka obozu, który na swoich barkach dźwiga ciężar odbudowy państwa i w rezultacie pełne i stanowcze poparcie naszego stanowiska przez dyplomację radziecką...”. Dalej do kategorii „polskich bomb atomowych” zalicza Borejsza sprawę wyborów. Stwierdza, że wolne i demokratyczne wybory mogą odmienić bieg rzeczy w krajach faszystowskich: Hiszpanii i Grecji, pisze Borejsza, że takie same wybory u nas „mogą wpłynąć i wpłyną na pewne zmiany personalne, ale w niczym nie mogą zmienić linii generalnej demokracji polskiej”.

Rozpatrując w zakończeniu artykułu środki, które zapewnić mogą światu trwały pokój: Borejsza odrzeka „mił cudownych broń” i zbrojenia pacyfistów, że „groźba nowej wojny da się usunąć przez powrót do słamazanego i bezbronnej demokracji sprzed 1939 roku...”. Wierzę w jedyną drogę do pokoju: umiarkowane, trwałe przesunięcie się świata ku socjalizmowi — tak kończy Borejsza ze znakomitą analizą złudzeń, którymi niebezpieczą się członkowie „wewnętrznej emigracji”.

O sprawie odpowiedzialności za powstanie warszawskie pisze Zofia Starowiejska-Morstinowa w art. „Odpowiedzialność” („Tygodnik Powszechny” Nr 30). Autorka polemizuje z tezą, że wybuch powstania przypisać należy wyłącznie inicjatywie kilku ludzi; twierdzi natomiast, że „zawiniły” tu nastroje społeczeństwa, zwłaszcza fałszywe pojęcia o honorze narodowym i t. d. „...ze zdumieniem zadajemy sobie pytanie, jak... zaczęliśmy od razu wierzycie niezłomnie, że tych kilkadziesiąt czy kilkaset tysięcy karabinów... zdecydowało — przynajmniej poważnie — zażyczy na losach gigantycznej wojny?”. W dalszym ciągu swego artykułu autorka wycofuje się z tego stanowiska, stwierdzając, że „konspiracja była potrzebna i konieczna...”. „...nie chce, broń Boże, powiedzieć, że nie był potrzebny opór i obrona, że nie była potrzebna konspiracja”. Myśląc logicznie i postępując się stwierdzeniami autorki o konieczności konspiracji i partyzantki dojdziemy oczywiście do wniosku, że powstanie powinno być wybuchem. Powinno było jednak wybuchnąć w odpowiedniej chwili, być odpowiednio przygotowane, a co najważniejsze, przygotowane w porozumieniu z dowództwem stojącym na linii frontu niedaleko Warszawy sojuszniczej armii. To i charakter powstania nie są już dziś zagadką. Liczne prace potwierdzają, że powstanie zostało wywołane przez wyznawców zgubnej koncepcji. Próba przeniesienia „winy” na społeczeństwo, na nasz „charakter narodoowy”, tradycje powstań i t. p., jaką podejmuje Zofia Starowiejska-Morstinowa, ma na celu zdjęcie piętna winy z tych, którzy ją w całości ponoszą. Gotowość społeczeństwa do powstania stwierdzałaby raczej dojrzałość i rozum polityczny, niż winę, którą autorka stara się na nie zwałić.

W poprzednim (9) numerze „Kuznicy” dnia 28 października: Mieczysław Bihrowski: O Francji żywej — Paul Eluard: Wiersze, przekłady Marii Castellani, Pawła Heriza, Mieczysława Jastruna, Jana Kołta, Adama Ważyka — Paul Eluard, rys. Pablo Picasso-Romain Rolland: Francja i wolność — Paryż — wiosna 1945, fot. — Roger Garaudy: Intelektualista w ślepych zaułku. — We Francji o kulisach — Leon Pierre-Quint: Pisarze wobec społeczeństwa — Jean Giraudoux: Ondyna, fragment. Hum. Henryk Rostworowski — Stefan Żółkiewski: O Emilu Meyersonie — Żłk: Na temat „WS” — Zbigniew Miltner: Sprawy wewnętrzne Francji — Adam Ważyk: Rozmaitości. Godność słowa — A. M.: Z Towarzysztwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej — mjr Rimbaud — Noty — Sprostowanie — 2 ilustracje — 8 stron.

Co o tym myśla Warszawiacy

Niedawno — w dniu 7 października br. odbył się w Poznaniu wojewódzki zjazd delegatów PSL z Wielkopolski.

Składając sprawozdanie z obrad tego zjazdu na łamach „Dziennika Ludowego”, oto co pisze poseł W. Garnarczyk, delegat NKW Stronnictwa Ludowego na zjazd:

„Odpowiadając na moje zarzuty, ob. Mikołajczyk przyznał, że powstanie warszawskie wybuchło z jego wola i wiedzą i że wziął na siebie za to powstanie odpowiedzialność. Za znaczny jednak, że o ścisłym terminie wybuchu tego powstania nie wiedział. Zdaniem ob. Mikołajczyka, powstanie warszawskie było największym zrywem bohaterów Polski w walce o niepodległość. Przed tym powstaniem nie wiele wiedziano w Europie i w świecie o Polsce i dopiero to powstanie miało Polski spopularyzowało na terenie międzynarodowym. Powstanie to było wręcz potrzebne, a poniesione ofiary były celowe”.

„Zdumiony byłem niepomniernie — podaje dalej W. Garnarczyk — gdy usłyszałem z ust ob. Mikołajczyka, iż powstanie warszawskie uważa nie za błąd swój i swego rządu, lecz za wielką zasługę wobec narodu polskiego”.

Po własnej, krytycznej ocenie przedstawionego poglądu na rolę i znaczenie powstania warszawskiego, W. Garnarczyk kończy swoje sprawozdanie pytaniem:

„A co o tym myśla pozostali przy życiu warszawiacy? Co o tym myśla cały naród?”

W dniu 27 czerwca br. — w dniu przyjazdu ob. Stanisława Mikołajczyka do Warszawy, w ośmym historycznym dniu narodzin Rządu Jedności Narodowej stałem pod ulewym deszczem na warszawskiej ulicy — ja warszawianin w tłumie warszawiaków. Stałem w tym tłumie — i wiem, że śledził on uważnie (mimo ulewnego deszczu) każdy skurek, każdy grymas twarzy dzielnego lidera Polskiego Stronnictwa Ludowego. Warszawska ulica była ciekawa zobaczyć, jak zareaguje na widok ruin stolicy ten, z którego „wola i wiedza” wybuchło powstanie warszawskie, który „wziął na siebie za to powstanie odpowiedzialność”.

Oto najdoskonalsza odpowiedź na pytanie posła Garnarczyka.

Brałem udział w powstaniu warszawskim. Byłem jednym z tłumy starych aktorów dziejowej tragedii. Dziś jestem jednym z tych pozostałych przy życiu. I podobnie jak ob. Garnarczyk goiów jestem wraz z setkami tysięcy warszawiaków i milionami Polaków zapytać:

„Włec jakże to — dla spopularyzowania imienia Polski za granicą trzeba było zamienić naszą stolicę w zamkniętą twierdzę i skazać na niej setki tysięcy ludzi na zagładę, a całe miasto na zburzenie?”

„Cóż więc robił za granicą nasz rząd londyński w ciągu prawie 6 lat, rząd, którego utrzymanie kosztowało Polskę dziesiątki milionów złotych przedwojennych?”

Być może, że z londyńskiego stanowiska obserwacyjnego tragizm miliona warszawiaków zamocujących się wśród płonących ścian stolicy nie wydawał się aż tak ogromny, jak nam stolągim środkiem tych ścian.

Być może, że upokorzenie i męka tych, co przez obozy Pruszkowa i Ożarów powędrowali do „lagrów” Rzeszy, też nie wydawały się z tamtego stanowiska aż tak wielkie.

Wszystko to być może. Ale my, tu w Polsce, uczeni historycznym doświadczeniami, zdecydowanie i definitywnie przekreśliłmy w swoich ocenach wydarzeń ten punkt widzenia.

Czyżby ktoś usiłował dziś na nowo uprawnić ocenę historyczną wydarzeń z tamtego stanowiska?

Czyż mównicą zjazdu Polskiego Stronnictwa Ludowego — to było by to samo, co i tamto dawne londyńskie stanowisko?

Warszawiacy — jesteśmy ponoc niezwykle lekkomyślni. Nie na tyle jednak, byśmy mieli kupować sobie to nowe przysłowie, że „Polak i przed szkodą i po szkodzie głupi”.

St. R. Dohrowolski

KORRESPONDENCJA

DO REDAKCJI „KUŹNICY” W ŁODZI

W ostatnim numerze łódzkiej „Kuźnicy” z dn. 14.X.1945 r. w artykule pt. „Hitlerowcy w Dąbrowie Górniczej” poruszona została dawno już zlikwidowana sprawa szczególnego cechowania przez Zarząd Miejski w Dąbrowie Górniczej zaświadczeń o poszukiwaniu pracy dla osób narodowości żydowskiej.

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej wyjaśniła, że system i cechowanie wspomnianych zaświadczeń przez Okręgowe Biuro Pośrednictwa Pracy w Dąbrowie Górniczej okrągła pieczęćka z literą „Z” (Żyd), „Fr.” (Francuz), „Wł.” (Włoch) itp. dotyczył nie tylko Żydów, istniał w czasie gdy wspomniane biuro było organem lokalnym samorządu miejskiego i było podporządkowane Urzędowi Wojewódzkiemu Śląskiemu w Katowicach. Biuro to z dniem 1 września br. zostało zlikwidowane, ponieważ wszedł w życie nowy dekret o Urzędach Zatrudnienia, na którego podstawie utworzono Urząd Zatrudnienia w Katowicach i oddział tego urzędu w Dąbrowie Górniczej.

W Urzędzie Zatrudnienia wprowadzono droki dla poszukujących pracy, służące jako dowód zarejestrowania bez specjalnego znakowania przynależności narodowej interesantów. Poruszona w „Kuźnicy” sprawa jest dawno przebrzmiała i zlikwidowana przez Ministerstwo. Dyrektor Departamentu Ogólnego MICHAŁ KRASUCKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Krzysztof Gruszczyński. „Wiersze jugosłowiańskie”: zapowiadają poeie.

M. Osm. Musi Pan pilnie pracować, wiele czytać, nie myśleć o druku.

Wł. Cz. Z. Piotrków Tryb. Bardzo słaba

HENRYK UŁASZYN

Z powodu wydania podręcznika pisowni polskiej

Miło mi jest przede wszystkim stwierdzić, że „Kuźnica” jest pierwszym piśmie, które zwróciło się do mnie jako do fachowca o recenzję nowego wydania podręcznika pisowni polskiej; nie zwrócono się natomiast ani do ob. J. Wyszomirskiego, ani do ob. J. N. Millera...

Recenzując to nowe, czwarte, wydane w roku bież. przez „Czytelnika”, wydanie podręcznika ortografii uchwalonej w Krakowie w r. 1936, uwzględnić można i należy tylko wykonanie tego podręcznika, boć przeciw autorowi jego, ob. St. Jodłowski i W. Taszycki, nie mogą być odpowiedzialni za przepisy ortograficzne uchwalone w wymienionym roku. Jeśli do drugiej części niniejszego artykułu, wypowiem nieco uwag o owej pisowni, to czynię to jedynie na życzenie Szanownej Redakcji „Kuźnicy”.

Przy przygodnym, pobieżnym potównywaniu wydania nowego z dawniejszym nie stwierdziłem żadnej różnicy. Załować jednakowoż należy, że autorowie nie uważali za potrzebne zaopatrzyć owo nowe wyda-

nie w przedmowę, informującą czytelnika o tym, czy w wydaniu nowym poczynili jakie zmiany czy też nie; czy co dodali, czy co skreślili, czy co zmienili. Chodzi oczywiście o sposoby przedstawiania, o sposoby wykładu, uchwalonych prawideł.

Chwali się natomiast bardzo dodanie na początku bardzo pozytywnej informacji dotyczących „Najważniejszych zmian w stosunku do pisowni z 1918 roku”. Rzecz w tym, że sprawy pisowni są obecnie gorąco dyskutowane w prasie i znalazły nawet swój oddźwięk w czerwcowym zjeździe oświatowym w Łodzi oraz w wrześniowym — Związku Literatów Polskich, odbytym w Krakowie. Są głosy, co wołają: wrócić do pisowni dawnej! Ale, gdy zapytać do jakiej? jakie konkretne reguły pisowni są przypisywane tej pisowni a dawnej — wówczas wypływają na wierzch niebywałe niespodzianki... Są i tacy, co nawet tej pisowni, którą zwalczają — nie znają. Do tego rodzaju „znawców” należy ob. J. Wyszomirski z „Rzeczypospolitej” (łódzkiej). Klasycznym zaś przykładem ogólnej dez-

orientacji w tego rodzaju sprawach jest ob. J. N. Miller. Nie orientuje się ani w polskiej ani w rosyjskiej pisowni, ale o obu rozprawia z istic „bohaterską” (wyróżniającą się od „bohaterstwa” — wyraz ten teraz modny) pewnością siebie. Przypominam artykuł jego w sprawie pisowni wydrukowany w „Nowej Epoce” (Nr. 4). Artykułu mego, spowodowanego owym ob. Millera — redakcja nie wydrukowała. Słowem dyletantyzm kwitnie u nas w dalszym ciągu. A przecież państwa demokratyczne buduje się na podstawach zawodowości wzgl. fachowości; nie powinno w nich być miejsca dla dyletantyzmu, jednej z cech charakterystycznych państw kapitalistycznych...

Uwaga, z którą obecnie występuje dotyczy nie tylko ostatniego wydania. Sprawa przedstawia się następująco. Tytuł podręcznika brzmi: „Zasady pisowni polskiej i interpunkcji ze słownikiem ortograficznym”, wszakże, przerzucając stronicę, przekonujemy się, że są tam nie tylko przepisy dotyczące pisowni, lecz i t. zw. poprawności językowej. Niewątpliwie, od przybytku — jak chce przysłowie — głowa nie boli, ale, gdy się pomyśli wielu mamy domorosłych językoznawców nie odróżniających epraw pisowni od epraw językowych, czyli wyrażając się lapidarnie: liter od dźwięków — to ma się żal do autorów, że epraw tych dwóch nie rozłączyli, nie sprzecyzowali, przyczyniając się w ten sposób do utrwalaania wzgl. dalszego maczenia i tak już dość zmęczonych głów naszej inteligencji w sprawach językowych.

Zeby nie być gołosłownym z tym moim zarzutem, przytoczę parę przykładów:

W § 27 czytamy: „nie wolno pisać *uspakajać*”. A przecież to eprawa nie ortograficzna, lecz językowa; rozszerzenie zakresu a-woklizmu w literaturach w stosunku do zasęgu dawniejszego — z czym się autorowie pogodzili, dopuszczając podwójne formy, np. *wykańczać* obok *wykonaćca*, choć tu a dostało się wtrótnie. Albo np. sprawa dubletów *dokonywam* — *dokonyję* (§ 37). Autorowie traktują je za „jednakowo poprawne”. Tu są łaskawi, ale w końcu ubiegłego wieku mój profesor krakowski, Lucjan Malinowski, gdy usłyszał, że ktoś użył formy *dokonyję*, złościł się zapytywał: „Czy pan bywa, czy pan buja”? Czas więc swoje zrobił; nie można było, a teraz można (por. wyżej *uspakajać*). Ale to eprawa również nie mająca nic wspólnego z ortografią...

A teraz sprawa druga, interesująca Szanowną Redakcję „Kuźnicy” — sprawa stosunku mego do pisowni z r. 1936. Otóż na ogół uznaję ją z jednej strony za lepszą w stosunku do dawniejszej, ale z drugiej — za pewne pogorszenie, utrudnienie. Chodzi, oczywiście, o poszczególne punkty.

Przeprowadzenie jednolitości wzgl. jednoznaczności w zakończeniach *ym*, — *im*, — *ymi*, — *imi* uważam za cechę dodatnią nowej pisowni ułatwiającą, natomiast wprowadzenie w określonych końcówkach zamiaś i podwójnego rozróżniania *i* — *j*, uważam za cechę ujemną, komplikującą pisownię.

Zasadę dzielenia wyrazów uważam za cechę dodatnią, upraszczającą.

Zasada łącznego wzgl. rozdzielnego pisania grup wyrazowych z natury rzeczy nie mogące być w naszej pisowni ujęta w definitywne formuły — jest za sztywne, za kategoryczne, za mało pozostawiające swobody piszącemu. Notabene, tu silnie działa strona semantyczna w przeciwstawieniu do punktów poprzednio wymienionych.

Z zakresu zmian drobnych oraz pisowni szeregu wyrazów indywidualnych pozostawił bym również więcej swobody; ustalenia (w dubletach) za mało liczą się z rozpowszechnieniem i dawnością, a za wiele z teorią czy historią. Nie godzę się więc np. na niedopuszczenie pisowni *dwuch*, *protokół*; na pisownię *druhna*; na wyłączność: *zakopiański* (obok rozsądniejszej i praktyczniejszej formy *zakopański*), *doktor* (należy dopuścić *doktór* z wiele przejawiającą się dyferencją znaczeń; notabene w Łodzi stwierdziłem sporo wywieszek z *doktór*), *wziąć* (dopuszczyłbym obok rozpowszechnioną omal od 200 lat formę *wziąść*), *sojka* (dopuszczyłbym oboczne *sojka*), i t. p. i t. p.

Uwagi moje krytyczne o pisowni z r. 1936 wypowiedziałem z dokładnym uzasadnieniem wnet po uchwaleniu w odczytanie publicznym Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego w Poznaniu. Po upływie 9 lat przekonałem się o ich aktualności i dziś. Dlatego też jestem zwróceniem poczynienia pewnych poprawek w naszej pisowni.

Kronika teatralna

„LATO W NOHANT”

„Lato w Nohant” zostało mi w pamięci jako jeden z najprzyjemniejszych wieczorów teatralnych przed wojną. „Lato w Nohant”, wystawione przez Teatr Wojska Polskiego w Łodzi było jednym z najgorszych przedstawień jakie widziałem obecnie. Niełatwo ocenić, ile w tym winy reżysera i aktorów, ile działania czasu i korektury sześciu lat wojny. Chciałbym jednak bronić Jarosława Iwaszkiewicza przed Leoną Jabłonkową. Reżyser i aktorzy zrobili tym razem wszystko, aby pograć sztukę.

Po pierwsze jej nie zrozumieli. „Lato w Nohant” jest komedią historyczną z wielkimi ludźmi w rolach tytułowych, a nie dramatem historyzoficznym o współbytowaniu w jednym cielesz i smakuśka pułdziejch udek. Stąd mniej lub bardziej trafne aforyzmy o istocie sztuki, natchnieniu, miłości i śmierci nie należy podawać, intonować i podkreślać jako prawdy wieczne, ale traktować je jako najwzajemniejszą jako powiedzenia, charakteryzujące szcuniczne postacie. Z komedii obyczajowej nie wolno bezkarnie robić „Traktatu o namiętnościach duszy”. Widz zamiast bawić się anegdotalną zaczyna wtedy rezonować i spierać się z autorem o metafizykę geniusza artystycznego.

Po drugie reżyser i aktorzy z pogodną komedią obyczajową uczynili ponury dramat namiętności, małeńką dostojewszczyznę. Zatraciłi całkowicie największy dar Iwaszkiewicza, dykrecję i poczucie miary. Sztuka jest w istocie bardzo zabawna, reżyser i aktorzy zrobili z niej „dzieje grzechu”, dramat postaw moralnych, tragedię ożyłości artysty, uwikłanego w siłdach materialnego bytu. Reżyser i aktorzy nie zrozumieli dowcipu Iwaszkiewicza: sprzeczność pomiędzy wrodzonym despotyzmem charakteru pani George Sand a programowym liberalizmem jej poglądów jest efektem komijnym, a nie tezą do pracy doktorskiej o wewnętrznych sprzecznościach romantyzmu i rozpadzie rodzinny mieszczańskiej w pierwszej połowie XIX wieku. Mogę zaręczyć Pani Leonie Jabłonkowej, że w Nohant choć ciężko było nieraz znaleźć spokojną chwilę dla pracy, życie płynęło pogodnie i przyjemnie.

Po trzecie aktorzy grali fatalnie. Horecka w roli George Sand stylizowała się na Junonę w scenach z Zeusem. Skulski (Giesinger) w pięknej, obszernej wiatrowce z podniesionym kołnierzem przypominają do studzenia (zwłaszcza w manierach szabrowników, wracających z Zachodu. Szopen (Świdarski) natomiast niktogo nie przypominał, a najmniej już samego siebie. Najlepiej jeszcze wypadła Bilianka w roli Solange, choć braki temperamentu nadrobiła krzykiem. Życzkowska (Madeleine) dzięki podniesionej spódnicy i zgrabnym nóżkom uwodziła milczącego Szopena. Szopen za sceną grał tak monotoniem, żeśmy w pełni zrozumieli żużenie tu niemilknącą muzyką pani George Sand i Mauricego. Nie zawiadły jedynie wiatr, burza i deszcz.

ESTRADA MISTYCZMU

Dnia 21 października w Teatrze Wojska Polskiego odbył się pierwszy występ „Estrady Poetyckiej” pod kierunkiem ob. Wiercińskiej. Program zatytułowany „Na gruzach — dom” ułożono w sposób szczególny, tak aby wyłącznie mesjanistyczno-apokaliptyczne tony poezji lat wojny i okupacji doszły w nim do głosu. Nawet utworom o innym charakterze przez zestawienie ich z wierszami mistycznymi nadano, pożądanym widocznie przez inicjatorów, ton beznadziejności, pesymizmu, odwoływania się do potęg niebieskich. Deklamowany po twarzym bezlistnym wierszu Putramenta „Karabin” wiersz Lieberta odejmował swemu poprzednikowi właściwe znaczenie, zabarwiał go „anielsko”, przenosił w sferę obcą i rozbrajał wolę walki, wyrażoną w tym utworze, Broniewskiego. „Krzęk osiadczy”, recytowany pod koniec programu, brzmiał anachronistycznie. Wiersz ten, napisany

ny niedługo przed wybuchem wojny, zapowiadający jej przyście, pełen apokaliptycznych obrazów, znalazł się chyba po to w programie, by spotęgować wrażenie beznadziejności, bijącej z poprzednich recytacji. W słowie wstępnym zaznaczono, że podobne poranki poetyckie urządzone były w Warszawie okupowanej; „estrada” w wolnej Polsce nie różniła się w treści wybranych utworów od tamtych konspiracyjnych poranków. Ta sama atmosfera mistycyzmu beznadziejności, charakterystyczna dla pewnych sfer inteligencji Warszawy.

Nawet utwory Koehanowskiego w tym kontekście, odpowiednio wygłoszone, upodobniły się do wierszy dekadentów warszawskich z okresu okupacji. Ze Słowackiego wybrano — zapewne po długich poszukiwaniach — strofę kończącą się zdaniem: „Ja co nie mogłem wskrzęsić nawet siebie”. Z wierszy Sępa-Szczyńskiego usłyszeliśmy najposępniejszy z sonetów: „Na one słowa Jopowe”.

Można rozmaicie rozumieć i tłumaczyć cele, jakie postawiła sobie ob. Wiercińska i inni inicjatorzy „Estrady”. Prawdopodobnie główną rolę odegrały tu szczególne upodobania estetyczne, ugruntowane na przeświadczeniu, że te właśnie akcenty cechują „prawdziwą” poezję, zamykanie do pozorów, odwracanie się tyłem od faktów, szukanie poeichy w mistycyzmie i mesjanizmie.

Ale co z tym wszystkim wspólnego ma Teatr Wojska?

NIEDZWIĘDZIA PRZYSŁUGA

Teatr Wojska wystawił „Lato w Nohant” Iwaszkiewicza. Inscenizacja spotkała się z zasłużoną naganą prasy. Nieprowadzenie mogłoby ująć za przypadkowe fiasco, gdyby nie to że Michał Orlicz, który popiełszył w sukurs tenetrowi i ogłosił w „Dzienniku Łódzkim” Nr 108, długi artykuł pt. „Zaszczytna droga Teatru Wojska Polskiego”, mimowoli wskazał kulisy tego chybnego przedstawienia. Michał Orlicz broni przegranej sprawy stylem doktorów piątej esencji z „Gargantui”. Więc posłuchajmy: „...mógł sobie ten teatr pozwolić na kłopotliwą dygresję w przededniu rozpoczęcia właściwej kampanii artystycznej w sezonie najbliższym, w postaci ujawnienia na swojej scenie młodego pokolenia aktorskiego. Nie inaczej bowiem nazwaczy można obsadę komedii Iwaszkiewicza p. t. „Lato w Nohant”, obsadę, która poza Maliszewskim, Labuńską i utalentowaną aktorką Ireną Horecką w roli George Sand, znalazła się na premierze niejako w potrzasku scenicznym bez możliwości wyjścia z zautków niedostatku środków, sztuki aktorskiej na drogi nie kolidujące z subtelnościami atmosfery sztuki”.

Z potrzasku i zautków niedostatku i niemożności przyzwolonego wysłowienia się ob. Orlicza wyłaziła na światło dzienne zastanawiająca prawda. Pokazywanie na scenie młodego pokolenia aktorskiego ma być „kłopotliwą dygresją”. Sądziliśmy, że jest to elementarny obowiązek Teatru Wojska. Dla dojrzałych, wyprobowanych aktorów sprowadza się Osterwę, a młodych powierza się tak niewydarzonemu reżyserom, jak ob. Jabłonkowa. Zdawało się, że Teatr Wojska po to nagromadził młode talenty aktorskie, wojskowe i cywilne, aby dać im możliwość szybkiego rozwoju pod właściwą opieką reżyserską, a nie po to, aby je kwasić i mrozić, albo wprost kompromitować nieudolną reżyserią. Okazuje się z dalszych wyjaśnień ob. Orlicza, że młodzi artyści powinni być wdzierzeni, że nie postano ich na terminowanie na scenie prowincjonalną.

Ob. Orliczowi możemy jedno doradzić: zanim będzie pisał o zaszczytnej drodze Teatru Wojska, niech zasięgnie informacji o tej drodze od młodych aktorów, dowie się od nich, że nie była smarowana wazelina.

A dyrekcji Teatru Wojska życzymy, aby co rychlej odgraździła się, nie słowami, ale czynem, od takich adwokatów, bo gotowimy im uwierzyć. awk

N O T Y

Do
Redaktora „Kuznicy”

Notatka w ostatnim numerze „Kuznicy” p. t. „Ulice szabrowników” wywołała duże poruszenie na tym gruncie. Mówi się tu również o ojcu chrzestnym większości ulic — Kilarakim, który nazywa siebie „profesorem” i który przybył tu w pierwszej ekipie jako przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki. Obecnie „profesor” jest jednocześnie naczelnikiem wydziału kultury Zarządu miasta Gdańska i urzędnikiem wojewódzkiego wydziału kultury, czyli swoim własnym przełożonym. Przy braku ludzi może to i nie jest takie złe. Gorsze jest, że przypominają sobie ludzie inną działalność kulturalną „profesora”, mianowicie z czasów okupacji, gdy wspólnie ze swoim dawnym szefem Stanisławem Wasylewskim i dr. Beżą prowadzili redakcję gadzinowego pisma we Lwowie. Redaktor Wasylewski został naplętnowany na walnym zjeździe literatów — natomiast jego satelici stoją na czele instytucji kulturalnych na najbardziej przez niemieckie zagrożonych placówkach w Gdańsku i Bydgoszczy. Nie tylko działają, ale i prosperują, jak o tym najlepiej może świadczyć zdobytą przez Kilarakiego jedną z ładniejszych will w Sopocie, naturalnie nie dla siebie, lecz dla wojewódzkiej zbiornicy muzealnej. Sądzi się, że nadzwyczajna komisja dla walki z nadużyciami może chociaż ta droga dowieść się prawdy o jednym z bohaterów grupy operacyjnej gdańskiej.

Łączę wyrazy poważania

Gdańsk-Sopot Bolesław Kowalski

ZAGROŻONA JEDNOLITOŚĆ SZKOŁY

Przedemną leży wydawnictwo oficjalne Ministerstwa Oświaty. Planu godzin i materiały programowe na rok szkolny 1945/46 dla szkół powszechnych i 1-jej klasy gimnazjum ogólnokształcącego. P. Z. W. S. Warszawa 1945 str. 169.

Ważna pozycja. Nie powinna przejść niezauważona. Na łamach „Kuznicy” oceni ją fachowiec. Lecz książka ta obchodzi każdego interesującego się kulturą. We współczesnym horyzoncie centralistycznym ustroju szkolnictwa — program ministerialny decyduje jakimi treściami kulturalnymi będzie żyła młodzież szkolna — a więc nowe pokolenie naszej inteligencji.

Uważamy, że ośmiolletnia szkoła powszechna jest już osiągnięciem zdobycza demokracji polskiej, jeśli idzie o decyzje władz. Ze tylko stoi przed nami to trudniejsze zadanie znaleźć dla każdej z tych ośmiolatek pomieszczenie, wyposażenie i nauczycieli. Jeśli tak jest, winno nie być żadnej różnicy między 7 kl. szkoły powszechnej a 1 kl. gimn. Nie ma szkoły powszechnej dla społeczeństwa — a gimnazjum dla elity. Przy tym programy kl. 7 i 1 winny być tak zmienione, by realizowały hasło upowszechniania najważniejszych elementów wiedzy systematycznej, gimnazjalnej. Tak po części jest. Zmieniono istotnie program języka polskiego. Mammy tak cenne nowości w kl. 7 jak język obcy i fizyka. To wielka rzecz: język obcy w szkole masowej i w tejże szkole fundament nowoczesnego naukowego poglądu na świat fizyka. Tym bardziej przecież raz niczym — jak się wydaje — nie uzasadnione zachowanie rozdziału w programach historii. Dlaczego uczeń kl. 7 zapoznaje się z historią Polski 1803—1939 a uczeń równorzędnej pod każdym innym względem kl. 1 — uczy się dziejów starożytnych? Nie będzie tu argumentów, że uczeń kl. 1 zna ten kurs historii z 6 oddziału. Przeciwnie, w praktyce w zakresie tego właśnie przedmiotu jest do nadrobienia tyle luki z okresu okupacji, że śmiało można nie liczyć się z tymi względami. A nadto program nowy i stary w tym punkcie różnią się bardzo znacznie. Nie da się usprawiedliwić dlaczego usuwane z kl. 1 łacina i ujednolicanie wszystkie inne przedmioty, zachowane w stosunku do 7 klasy odrębność: historii, prac ręcznych i wychowania fizycznego? I dlaczego do 1 kl. nie wprowadzono fizyki? Jest to dziwactwo i szkodliwe reakcyjne dziwactwo. Uderza bowiem w najistotniejszy postulat szkoły demokratycznej: w jej jednolitość.

Wzywamy do naprawienia tego błędu.

żk.

KRYTYKA DEMOKRACJI

Chodzi o tych pospolitych krytyków, którzy z radością wyszukują niezadowolonych. „Moja Pani — wystarczy jechać koleją, a można się nastuchać!.. Moja Pani, nikt nie jest zadowolony!.. Czyżby, moja Pani? Wiemy, że jest ciężko. A zbliżająca się zima będzie wymagała od nas jeszcze większych być może wyrzeczeń. Ale — opinii mas, zdania klasy pracującej trzeba szukać inaczej. Opinia masy — nie jest sumą pogadywań poszczególnych jednostek. To — teoretycznie biorąc — typowy błąd psychologów, którzy poza drzewami nie widzą lasu. W „psioczeniu” tego czy innego pasażera pociągu wyraża się jego nastrój

psychiczny. Nastrój pioski — zupełnie usprawiedliwiony ciężkimi czasami. Ale byłoby błędnym przecenianiem czynnika psychologicznego sądzić, że się w ten sposób sięgnęło do jądra mechanizmu procesów społecznych. O tych decyduje nie „człowiek psychologiczny”, ale „człowiek społeczny”. Pierwszy wyjaśnia drobne prywatne odczucia od schematów społecznych, drugi natomiast winien być punktem wyjścia wszystkich zasadniczych prób wyjaśnienia rzeczywistości społecznej. A „człowiek społeczny” rządzi się prawami, których nie da się wyrazić w języku obserwacji psychologicznych.

Toteż nie „psioczenie” po pociągach mówi o stosunku mas do rzeczywistości. Ale coś całkiem innego.

Znam całe szeregi cegieł, w których pracują robotnicy w trudnych warunkach, bardzo zaciskając pasy. I nie strajkują. Chociaż to są strycharze, którzy do 1939 r. strajkowali w każdym sezonie. I mają wspaniałe tradycje walk strajkowych. Otóż w tym fakcie wyraża się człowiek społeczny. Nie jest ważne, że strycharz psioczy, ważne jest, że pracuje, że nie strajkuje. Bo to właśnie mówi, iż w pełni rozumie swą rolę współzgodzającego państwa, że spełnia ją. Że rozumie, iż demokracja ludowa — sprawiedliwa z nich nie spadnie, że trzeba ją świadomym wysiłkiem zbudować. I strycharz czynnie solidaryzuje się z tym budowniczym.

Wnioski społeczne trzeba opierać na społecznych danych. Psychologiczne na psychologicznych. Pomieszenie zaś danych prowadzi do fałszywych wniosków. Metodologia przyda się i w polityce.

żk.

IL Y A DES JUGES A... LONDRES

Sprawa Johna Amery, która nie potrafiła przyciągnąć uwagi prasy polskiej, uciechła i w Anglii. Warto ją jednak przypomnieć. John Amery, syn b. ministra dla spraw Indii i Birmy, Leopolda Amery w czasie wojny oddał się na usługi Goebbelsa przekonując przez radio Anglików, że miejsce ich w obozie „nowej Europy”. 25 kwietnia b. r. wojska angielskie wzięły do niewoli syna angielskiego ministra: Johna Amery. Ponieważ o sędzię długo nie było słyhać, zaniepokoiło to wyborców, którzy 29 czerwca zadali Leopoldowi Amery dość drażliwe pytanie, dlaczego jego syn nie stanął przed sądem? Minister Amery wytrawny polityk odpowiedział:

— Kwestia ta nie dotyczy mnie. — to sprawa wymiaru sprawiedliwości. Sąd rozstrzygnie o losie tego nieszczęsnego człowieka.

Wyjaśnienie to prawdopodobnie jednak nie zadowolilo wyborców bo minister przepała przy wyborach a „nieszczęsnym” John Amery stanął przed sądem. Zaraz na pierwszym posiedzeniu „wybuchła bomba”. Obrońca oświadczył, że John Amery jest obywatelem hiszpańskim. Jego klient rzekł że obywatelstwa brytyjskiego jeszcze w czasie wojny hiszpańskiej. Cóż robi w takim wypadku sąd, dbały o sprawiedliwość? Odrzucił, naturalnie, sprawę, celem wszechstronnego wyjaśnienia okoliczności. Do tej pory o wznowieniu przewodu sądowego nikt nie słyshał.

Polacy pamiętają, że „odmierzenie sprawiedliwości” w Paderborn odbywało się znacznie „sprawniej”. Sier

O PROPAGANDZIE

Propagując coś — mamy za zadanie ludzi do tego „czegoś” przekonać. Propagując jakakolwiek idee np. przyjaźni współpracy ze Związkiem Radzieckim, mamy pokazać jej sensowność i jej wartość praktyczną. A więc trafić do rozsądku ludzkiego, oddziaływać na sferę rozumu.

Z drugiej jednak strony — zwracając się do ludzi — spotykamy się u nich nie tylko ze sferą rozumu, ale i ze sferą uczuć. Jest to sfera, w której — jak od wieków wiadomo — nielawo głosem cudzego rozsądku cokolwiek zmienić od razu. A coś dopiero gdy istnienia tej sfery i tkwiących w niej napięć w ogóle nie bierze się w rachubę! Wtedy propaganda, nie licząca się z takimi realiami, może wywoływać skutek wręcz przeciwny swoim zamierzeniom. I po prostu szkodzić sprawie, o którą walczy.

Nie potrzeba wznosić entuzjastycznych okrzyków — natomiast bardzo potrzeba w sposób poważny i trafiający do rozsądku wykazywać zasadność propagowanych idei, ich charakter, ich praktyczność, ich użyteczność, ich wartość społeczną.

I tylko na tej drodze można wymiać z myśli ludzkich przesady i zabobony, przekształcać te myśli, zmieniać. Rozwijając wśród współobywateli właściwe rozumienie idei i zadań, jakie rodzi współczesność. Jednym kształcić, drugim przekonywać. Rozsądek jednych wyposażać w sprawność, rozsądek drugich w rzeczowe argumenty, które ta droga — przez ich własny rozsądek — modyfikować będą ich uczucia.

Tymczasem zaś — aby wskazać przynajmniej na jeden przykład propagandy zupełnie niecelowej — spójrzmy chociażby na pompatyczne tytuły artykułów w prasie codziennej, albo na okłenka w swym mechanicznym entuzjazmie, ustawicznie powtarzające się zwroty wewnątrz tych artykułów. Przecież to nie ma sensu! Jednych to zasmuca i za-

wstydzają swoim poziomem, drugich śmiejesz, jeszcze innych rozdrażnia. Na kogo to ma oddziaływać? I czy to może zbliżyć kogokolwiek do należytego rozumienia i aprobowania sensowności idei?

Nie zbliża zupełnie. Ani ta metoda, ani wiele innych stosowanych u nas metod propagowania rzeczy, choćby w istocie najrozsądniejszych. A przecież zdawało by się, że przeżywałyśmy czasy przełomowe, czasy, które mogą zdecydować na długo o wewnętrznym charakterze naszego kraju i o jego roli, podczas gdy w społeczeństwie naszym staroświeckich sposobów myślenia ciągle jeszcze nie braknie. Jeżeli nie da się dostatecznie poważnego materiału myślowo ludzkiemu — to nie wytworzy się możliwości powstania nowej, współczesnej postawy społeczeństwa. Metoda wszelkiej propagandy musi być oddziaływanie na rozsądek. Propaganda przemawiać musi głosem mądrego współobywatela, a nie głosem gramofonowej tuby. Musi oświetlać sprawy, a nie zaciemniać. Musi kształcić, a nie zakrzykiwać.

ż

O DEMOKRATYCZNEJ PISOWNI

Jednym z rozdziałów wielkiej, bezcennej pracy p. t. „Słoń a sprawa demokracji” jaka zapewne zostanie napisana przez wybitnego krytyka literackiego z Warszawy, będzie rozdział o ortografii. W artykule, prof. Nitscha w pożytecznym wielce piśmie „Język Polski” z maja — czerwca 1945 r. znajdujemy obszerną odpowiedź na artykuł Jana Nepomucena Millera, który domaga się wprowadzenia „demokratycznej pisowni”, i zn. usunięcia z języka polskiego sz. cz i zastąpienie ich na wzór czeski s i c. Mowa tam oczywiście o „ó” i „a”, „h” i „ch”. Interesujące, czy według Millera „rzad” będzie mniej demokratyczny niż „ład”. Jestem laikiem w tych sprawach i dlatego zainteresowałem mnie artykuł prof. Nitscha, wzeł wymieniony. O dziwo! I tu znalazłem ślady „stonia”. Po wielu cennych wyjaśnieniach prof. Nitsch pisze tak w obronie „ch”, które w wymowie kresowej odróżnia się od „h”: „Ze kresowcy ponieśli wielkie straty materialne, na to nie było i nie ma rady; także strata moralna, jaką jest zawsze opuszczenie swej bliższej ojczyzny. Ale dlaczego narzucać im jeszcze dalszą przykrość, jak by zaznaczyć... że nawet ich wymawianowo — ortograficznie kresowa tradycja ma być czymś przedziwnym, by po niej ślad nie pozostał?” Bardzo mnie przekonało to historyczno-logiczne uzasadnienie „ch”. Ucieszyłem się w ogóle, stwierdziwszy, że cały artykuł przysięgnięty jest duchem demokratycznym i postępowym. Prof. Nitsch pisze np. o odczuwającej kresowe społeczeństwo polskie ludności „małoruskiej”. Rozumiem, że prof. Nitsch wysł tu o 40-milionowym narodzie ukraińskim, czy tak?

Z drugiej strony, wracając do meritum sprawy, muszę przyznać, że poglądy prof. Nitscha na sprawy ortografii bardziej odpowiadają chyba tym, których prof. Nitsch w zakończeniu swego artykułu nazywa pogardliwie i w czudzość „literatami” (przypominam, że protest przeciwko reformie pisowni z r. 1936 podpisali wszyscy wybitni polscy pisarze) niż rewolucyjne projekty Jana Nepomucena Millera („O demokratycznej pisowni”. Nowa Epoka z dn. 9. 6. h.r.) Projekty Millera są pozabawione uzasadnienia, szlachetny ten gest rewolucyjny dokonany został w próżni.

P. S. W związku z projektami wyświecenia kilku liter z alfabetu i innych „rewolucyjnych” zmian, proponuję szybkie wydanie interesującej pracy Lenina: „Dziecięca choroba lewicowości”. Prof. Nitsch pracę tę jak i inne prace tegoż autora również mógłby z pażytkiem przeczytać.

nh.

NEON! NEON!

Pamiętacie chyba dr Przybrama z zabawnej sztuki Brunona Winawera? Dr Przybram polknał jakiś biały światłodajny proszek i odtąd świecił się co pewien czas jak żarówka. Poza tym jednak dr Przybram czuł się wcale dobrze, to świecenie mimowolnie nie podziało na jego ośrodku mózgowym. Gorzej powiodło się p. Juriewskiemu, który w „Tygodniku Demokratycznym” (Nr 19) podaje się za tłumacza poezji polskiej na język rosyjski. P. Juriewski fluoryzuje prawdopodobnie po rosyjsku, a że redakcja nie postarała się o przyzwoity przekład, więc nieszczęsnym następcą dr Przybrama wy-daje blask jeszcze bardziej niepokojący. Pi-sze mianowicie o Przybosiu:

„Życie zaczyna się i kończy neonem: bładym, nocnym, tragicznym. Poeta pamięta pierwszy: „pierwszy neon czerwony jak winorośl u okien...” Zresztą jak mógł niepamiętać neona (!) łaki? Przecież neon to poezja. Przecież poeta słyszy, słyszy poprzez kolor czerwony neon — ...

„Wiersz o powstańcu warszawskim. Prosty. Nie wniebowzniesiony. Taki jak prosta była neonowa luna pożaru warszawskiego i w kąpieli (!) zórz fioletowych — zórz neonowych śmierć szarego powstańca...”

„gdz! wiersze Przybosia tworzą jedną mlecz-no-neonową całość.

Na pewno będą tłumaczyć Przybosia!”

Biedny Julianie, który stał się przedmiotem tej przysięgi szaleńca. Bo pomyśl, jaka to straszna rzecz — polknąć neon. awk

WŁAŚCIWY CZŁOWIEK NA WŁAŚCIWYM MIEJSCU

Marian Piechał niedawno próbował zgłosić akces do „Kuznicy”. Redakcja nie skorzystała z tej oferty. W ostatnim numerze „Tygodnika Powszechnego” ukazał się na pierwszej stronie wiersz, jak należy przypuszczać, tego samego Mariana Piechała.

RKM

KRÓL I SZLACHCIC

Nielada sztuki dokonał Jan Aleksander Król; udowodnił mianowicie w tygodniku „Więść”, w artykule „O poezji chłopskiej”, że Jan Kochanowski był szlachcicem. Z tego rewelacyjnego odkrycia wynika, że poezja Kochanowska nie jest dla chłopów, bo wprawdzie zdarzało się czasem, że chłop stawał się szlachcicem, a nawet raz był „z chłopów król”, ale nigdy, o ile nam wiadomo, na odwrót. Tak więc Jan Aleksander Król likwiduje rzecz czarno-leśka. Na próżno ziemianin Adam Ważyk, autor „Sta rego dworku” usiłuje nam wytłumaczyć, że „kultura narodowa nie jest pusta kartką, wy-darta z notatnika mitologów wsi, ale zawitym, pełnym sprzeczności spletem, który łączy nas także z innymi krajami.” Król wietrzy w tym „splotcie” podstęp.

Na próżno usiłuje klasycy i konserwatysta Ważyk przebiegać rewolucyjnego awangardziste Króla urzekająca apostoła: „O biało-skrzydła morska ptawaczko”: Król chytrze wylicza, skąd i od kogo każde ze słów, tworzących apostoła. Kochanowski ściągnął i przeciwstawił tej nielechańskiej poezji wspaniałą sztukę poetów drukujących we „Wsi”. — Ja sam po przeczytaniu „Prośby”, wiersza Jana Bolesława Ożoza, przyznałem rację Janowi Aleksandrowi Królowi.

Powtórzyłem raz i drugi głośno początkową frazę „Prośby”:

W drabinach wysokich rusztowań
dał za twórci ginać wieloletni smet,
He? to niekniejsze od

O biało-skrzydła morska ptawaczko
Wychowanico! Idź wysoki!

A jaki chytry był ten Jan z Czarnolasu.

Niby to głosił:

Dygnitarstwa, urzędy
Wszystko to jawne błedy...

a w gruncie rzeczy występował przeciw chłopom i reformie rolnej, pisząc

A nad chłopca chciwego
Nie masz nic niedzielszego —

sam zaś wyciskał z chłopów pieniądze i zamykał je w skrzyni zamczystej, podobnie do skrzyni Fugzerów, kupców anguszkich:

Przeto te troski plona
Sztanowi zlecona!

Nech, uprzątnawszy głowę,
Mkna w skrzynie Fokarowe.

Król chłopów oświecił, pisarz chłopskich ostrzeż przed szlachcicem Kochanowskim, a co tym pisarzem inżynierskim począł. My pozostaniemy przy Kochanowskim i pocieszymy się jego strofą:

A nam wina przynosić!
Z wina dobra myśl rośnie...

ml.

POEZJA GUDZENKI

Upowazeczniając kulturę — zwękla musłm — oczyszczać ją z elementów snobizmu. Ze snobizmem walczymy w imię prostoty. I tu pojawia się swoiste niebezpieczeństwo: jak osiągnąć istotną prostotę — eliminować wszelkiego rodzaju „sztampy”? Szczególnie jest to groźne w literaturze, zwłaszcza w poezji. Związek Radziecki dokonał niezwykle pomysłnie jednego w dziejach na taką skalę dzieła upowszechnienia kultury, przeciwnie do niej mas dotąd kulturalnie wydzierżawionych. Z najgłębszym wzruszeniem czyta się dzieło emancypacji kulturalnej — rosyjskiej klasy pracującej, całych narodów azjatyckich. Emanypacji dokonanej świadomym wysiłkiem po przez celowe wzbogacenie instytucji społecznych, mających na celu aktywizację kulturalną tych nowych odbiorców i co ważniejsza nowych twórców, przynoszących do tradycji ogólnoludzkiej własne wkłady, które umiano w ZSRR tak wspaniale wyzyskać i uszapanować. Tym bardziej na tym leżała niedoścignięcia — może w proporcji do całego dzieła raczej drobne.

Mam na myśli częste objawy nieelastyczności sowieckiej krytyki literackiej. Tłumienie objawów odrębnej, samodzielnej prostoty poetyckiej — a narzucanie jałowej „sztampy”. Taki jest stosunek krytyki do tak niewątpliwego poety jak Gudzenko. Zarzuca mu się szlachetność, stylizację, gdy tymczasem jest to człowiek, który po prostu przewycięzył zbyt częstą w liryce sowieckiej ostatnich lat „sztampę powość” i wystąpił z odrębną, własną — alez pełną nieklamanej prostoty i przejmującego realizmu linią poetycką.

Rozumiałem głosy krytyki pod adresem tak doskonałego poety jak Borys Pasternak. Liryka jego jest wspaniała, ale jak zwykle u symbolistów, jednostronna. Tymczasem wielki poeta powinien umieć, jak trafnie powiedział Jastrun, napisać dobrze i utwór w innym rodzaju np. bohaterski czy patriotyczny. Toteż można Pasternakowi zarzucać nieudolność jego wierszy wojennych.

Krytyka Gudzenki natomiast jest szkodliwym tepieniem twórczej oryginalności. W krytyce trzeba lepiej rozumieć indywidualności pisarskie, mniej być doktrynerem. Co nie wklucza usprawiedliwienia programowości.

zik